

# OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Charles Dickens



WODOCIĄG MARECKI  
SPÓŁKA Z O.O.



*Święta Bożego Narodzenia  
niosą ze sobą wiele radości oraz refleksji  
dotyczących minionego roku.*

*Podsumowujemy to co minęło i snujemy plany  
na nadchodzący Nowy Rok.*

*Wszystkim swoim Partnerom, Współpracownikom i Klientom życzymy,  
aby chwile spędzone w rodzinnym gronie były radosne i spokojne.  
Niech dni kolejnego roku będą czasem realizacji wszystkich planów,  
zarówno tych zawodowych jak i osobistych.*



*z serdecznymi podziękowaniami  
za dotychczasową współpracę*

*Kajetan Paweł Specjański  
Dyrektor Zarządu Wodociągu Mareckiego*

## I. W biurze

Opowieść niniejsza zaczyna się dość banalnie. Otóż Marley umarł. Umarł jak wielu przed nim i wielu po nim. Wszak w śmiertelności człowieka nie ma nic nadzwyczajnego. Fakt ten miał miejsce siedem lat temu. Jego niezaprzeczalnym potwierdzeniem był akt zgonu podpisany przez lekarza, proboszcza, przedsiębiorcę pogrzebowego i wspólnika Marleya – Scrooge'a. A trzeba wiedzieć, że podpis tego ostatniego uważany był przez przedsiębiorców i bankierów za najpewniejszą i najważniejszą gwarancję. Pewniejszą nawet od najmocniejszej, ogniotrwałej kasy. Marley był zatem martwy i nikt nie wątpił w prawdziwość tego faktu.

Po śmierci Marleya jedynym spadkobiercą i wykonawcą testamentu został jego wieloletni wspólnik, a zarazem jego jedyny przyjaciel i towarzysz – Scrooge. Nic zatem dziwnego, że to właśnie on, w zupełnym osamotnieniu, podążał na cmentarz za trumną, by w ten sposób ostatni raz pożegnać wieloletniego przyjaciela.

Jeśli jednak ktoś z was w tej właśnie chwili pomyślał, że ów wypadek wywarł na Scrooge'u aż tak duże wrażenie czy wywołał stan przynębnienia i zmącił jego dotychczas poukładane życie, to nic bardziej mylnego. Już podczas pogrzebu przedsiębiorczy wspólnik wpadł na pomysł doskonałego interesu, który natychmiast wprowadził w życie, dzięki czemu zyskał okazały dochód.

Skoro Marley od dawna nie żyje, czemu zatem temat ten aż tak bardzo przykuł moją uwagę? Czemu poświęciłem mu aż tak dużo czasu? Otóż pragnę, by czytelnik zapamiętał ten fakt wyraźnie i dokładnie, gdyż w przeciwnym wypadku cała historia, którą właśnie zamierzam opowiedzieć, nie miałaby w sobie nic nadzwyczajnego. A opowieść ta okazała się naprawdę nieprawdopodobną.

Po śmierci Marleya, Scrooge nie stał z szyldu nazwiska wspólnika. Nad drzwiami biura widniała zatem dotychczasowa tabliczka z błyszczącym napisem »Scrooge i Marley«. W decyzji tej nie było nic dziwnego, bowiem wszyscy interesanci znali przedsiębiorstwo właśnie pod tą nazwą. Tak też pozostało. Czasami, co prawda, zdarzało się, że nowi kupcy, nierozeznani w biznesie i stawiający w nim swe pierwsze kroki, nazywali Scrooge'a panem Marleyem. On jednak nie protestował i nie wyprowadzał ich z błędu. Dla niego liczyła się tylko firma i nic poza nią nie miało znaczenia.

Warto w tym miejscu podkreślić istotną, zwłaszcza dla dalszej opowieści, jego cechę. Otóż Scrooge był chciwcem, prawdziwym dusigroszem, choć określenia te nie odzwierciedlają w pełni jego prawdziwego oblicza. Scrooge był bowiem skąpcem nad skąpcami! Ten stary grzesznik ścisnął w swej garści wszystko tak mocno, że jeśli raz już coś wpadło w jego szpony, nie było takiej siły, by to od niego odzyskać. Z każdego klienta potrafił wyrwać, wykręcić, wydusić dosłownie wszystko, do ostatniego pensa. Był twardy i ostry jak kamień, a do tego milczący i zamknięty w sobie. Lodowaty chłód, który wypełniał jego serce, wpłynął również na oblicze starca, które zmieniało się i deformowało każdego dnia. Wewnętrzny mróz, który sam wyhodował i pielęgnował w swym sercu, wykrzywił i skurczył mu twarz, na czole odciskał coraz to nowe zmarszczki i bruzdy, uwypuklał i tak już niezwykle spiczasty nos, zaciął mocno wąskie, sine usta. Widoczny był również w zimnym, stalowym wręcz spojrzeniu, które potrafiło zmrozić każdego. Sztywna postawa, suchy i skrzypiący głos, białawy szron na głowie, a także spiczasty podbródek i nastroszone brwi, to wszystko sprawiało, że swym wyglądem upodobił się wręcz do ostrego gwoźdźca. Gdziekolwiek się pojawiał, roztaczał wokół siebie lodowatą atmosferę. Swoją obecnością potrafił nawet ostudzić biuro podczas upałów.



Pogoda też nie wywierała na nim żadnego wrażenia. Gorące słońce podczas upałów nie potrafiło go ogrzać, a najgorsze zimy nie mroziły jego i tak lodowatego serca. Żaden wiatr nie był od niego ostrzejszy. Nie dokuczały mu zresztą żadne problemy otaczającego go świata. Nic nie zwracało jego uwagi. Wszystko to, co działo się wokół niego, było mu doprawdy obojętne. Liczył się tylko dobry interes i jak największy zysk.

Nikt też nigdy nie zatrzymywał go na ulicy, by z uśmiechem zapytać: „Dzień dobry panie Scrooge. Jak się pan ma? Co u pana słuchać? Może wpadnie pan do nas z wizytą?” Żaden żebrak nigdy nie poprosił go o jałmużnę, żadne dziecko nie odważyło się spytać o godzinę, a zagubiony przechodzień o drogę. Nawet psy, prowadzące niewidomych, wyczuwały od niego wyłącznie chłód i oziębłość i gdy tylko się pojawiał, natychmiast odciągały swych właścicieli jak najdalej. A poruszające się nerwowo psie ogony próbowały powiedzieć: „Czasem lepiej być niewidomym, niż mieć tak zimne i bezduszne spojrzenie”.

„Cóż na to Scrooge?” – zapytacie. Wszak takie wyobcowanie musiało przecież być dla niego niezwykle przykre? Nic bardziej mylnego! Scrooge nic sobie nie robił z reakcji otoczenia. Wręcz przeciwnie. Tego właśnie pragnął i taki swój wizerunek świadomie ukształtował. Nie interesowało go kroczenie szeroką drogą wraz z tłumem. Nie interesowali go inni ludzie. Wolał przemierzać własne, wydeptane ścieżki, a swym wyglądem i zachowaniem odstraszać wszystkich od siebie. Taki był jego plan, który od lat z zadowoleniem realizował. Tak też mijały mu kolejne dni i tygodnie.

Nadszedł wreszcie najpiękniejszy i najbardziej oczekiwany dzień w roku – Wigilia Bożego Narodzenia. Stary Scrooge siedział, jak zwykle bardzo zapracowany, w swoim biurze. Zima była wyjątkowo ponura. Ostry mróz i przenikająca mgła powodowały, że przechodnie, których słyhać było za oknem, chuchali w zmarznięte dłonie, rozcierali zgrabiały ramiona oraz tupali rytmicznie nogami, by choć trochę się rozgrzać.

Scrooge jednak nie zwracał na nich uwagi. Choć na pobliskiej wieży zegar wybił dopiero trzecią, to za oknem rozciągał się już wieczorny, gęsty i lepki, mrok. Światła świec, które migotały w okolicznych oknach, przypominały rude, rozmazane, niewyraźne plamy na tle gęstego powietrza. Wszechobecna mgła próbowała każdym najmniejszym zakamarkiem, nawet dziurkami od klucza, dostać się do wnętrza domów, by i tam zaznaczyć obecność zimy. Rozmywała też wszystko wokół i sprawiła, że przeciwległe budynki, ze względu na dość wąską uliczkę, przy której się znajdowały, przypominały nierealne widma.

Drzwi do pokoju Scrooge'a były otwarte, musiał mieć bowiem na oku swojego pracownika, który, w małej, ciasnej i wyjątkowo ponurej izdebce, przepisywał listy. W kancelarii właściciela palił się niewielki ogień. Niestety, w pokoju kancelisty panował mrok i zimno, a w kominiku tlił się zaledwie jeden słaby węgielek. Biedak od dłuższego czasu nie odważył się rozpalić większego ognia, gdyż cały zapas węgla znajdował się w pokoju jego pracodawcy, a gdy kancelista wcześniej kilkakrotnie wszedł z szufelką po odrobinę opału, Scrooge zagroził mu zwolnieniem z pracy. Mężczyzna okręcił zatem szyję długim szalikiem i próbował rozgrzać zmarznięte dłonie przy niewielkiej świecy.

– Wesołych świąt, wujku! Niech cię Bóg błogosławi – rozległ się nagle młody i niezwykle dźwięczny głos. Okazało się, że to siostrzeniec Scrooge'a wpadł do niego z niespodziewaną wizytą. Młodzieniec rozcierał zmarznięte dłonie.

– Cóż to za bzdury! – burknął zirytowany Scrooge.

– Wuju, Święta Bożego Narodzenia to żadne bzdury. Przecież naprawdę tak nie uważasz?

– Owszem, tak właśnie uważam. Święta to prawdziwe bzdury. Wesołych świąt?! Dlaczego, twoim zdaniem, właśnie w tym czasie mamy być tacy weseli? I z czego ty tak się osobiście radujesz? Przecież jesteś biedakiem.

– Już dobrze, wujku. Nie złość się tak – odpowiedział uspokajająco siostrzeniec. I po chwili dodał – A czemu ty jesteś taki smutny i zgorzkniały? I dlaczego nie potrafisz choć na chwilę oderwać się od tej nudnej pracy i rachunków? Przecież jesteś wystarczająco bogaty.

– Co za bzdury – zawołał Scrooge, który nie potrafił tak szybko znaleźć lepszej odpowiedzi.

– Nie gniewaj się na mnie, wujku.

– Jak mam się nie gniewać, kiedy na tym świecie żyje wielu głupców i wariatów takich jak ty? Wesołych świąt! Daj mi wreszcie spokój z tą waszą wesołością! Zastanowiłeś się chociaż, czym dla was jest to całe Boże Narodzenie? To czas wzmożonych, zupełnie niepotrzebnych, wydatków, na które zazwyczaj i tak brakuje wam pieniędzy. Te wszystkie choinki, prezenty, wystawne kolacje dla gości! I po co to wszystko? Poza tym w święta uzmysławiasz sobie, że znów jesteś o rok starszy, ale na twoim koncie nie przybył ani jeden pens. Przez ostatnich dwanaście miesięcy nie powiódł się tobie żaden interes, zero zysków, tylko same straty. Straty! Gdyby to ode mnie zależało – dodał szybko, pod wpływem gwałtownie narastającego oburzenia i irytacji – to każdego takiego głupca, który biega od domu do domu z radosnym okrzykiem „Wesołych świąt” powinno się ugotować w jego własnym świątecznym pudingu, a następnie pochować z wetkniętą koło serca gałązką choinki. Tak właśnie!

– Wujku, jak możesz... – zawołał siostrzeniec, który jeszcze chciał coś dodać w obronie świąt, jednak Scrooge nie dał mu dojść do głosu.

– Siostrzeńcze! – przerwał surowo starzec. – Obchodź sobie święta, tak ja ci się podoba, a mi pozwól obchodzić je na swój sposób.

– Przecież ty ich wcale nie obchodzisz, wuju.

– I niech tak zostanie! Twoja wesołość, jak do tej pory, nie przyniosła ci zbyt wiele korzyści.



– Przyznaję, wujku, że nie mam takich zdolności handlowych, jak ty i nie zawsze potrafię wykorzystać nadarzającą się okazję. Ale to nieistotne. Przecież Święta Bożego Narodzenia, to nie tylko poszanowanie dla wielowiekowej tradycji, to najpiękniejsza chwila w roku, chwila dobroci, przebaczenia uraz, miłosierdzia, to czas zabawy, radości, przyjemności. W tym dniu wszyscy cieszą się i weselą; zapominają o różnicach wynikających z posiadanego majątku czy stanowiska w pracy. Człowiek widzi wówczas w drugim człowieku brata, towarzysza, przyjaciela – a nie wroga. Dlatego, choć w święta nigdy nie zdobyłem nagłej fortuny, przyniosły mi przez te wszystkie lata wiele dobrego i wiele mnie nauczyły. I dlatego wołam z radością: „Wesołych, błogosławionych świąt!”

W tym momencie z pokoju obok dobiegło ciche klaśnięcie. To kancelista, który słyszał całą tę rozmowę, odruchowo przyklasnął w dłonie na znak, że zgadza się ze słowami siostrzeńca. Gdy uświadomił sobie, co zrobił, chwycił w przerażeniu znajdujące się nieopodal cęgi i zaczął nerwowo grzebać w ogniu, w wyniku czego zgasił niechcący ostatni palący się węgielek.

Rozwścieczony Scrooge, który od razu zauważył niestosowne zachowanie swojego pracownika, zawołał gniewnie – Jeśli jeszcze raz usłyszę coś podobnego, to zamiast śpiewać świąteczną kolędę, będzie pan płakał nad straconym stanowiskiem. A co się tyczy ciebie, mój siostrzeńcze, to przyznaję, że jesteś doskonałym mówcą. Dziwię się zatem, że do tej pory nie dostałeś się do parlamentu, gdzie mógłbyś realizować swoje krasomówcze zdolności.

– Przepraszam wujku. Nie gniewaj się już. Może po prostu przyjdiesz do nas jutro na obiad?

– A idź do diabła! – wrzasnął wściekły Scrooge.

– Ale dlaczego, wujku...? – nie poddawał się młodzieniec.

– A dlaczego się ożeniłeś? – zapytał nagle Scrooge.

– Bo się zakochałem.

– Zakochałem! – powtórzył ironicznie Scrooge. – To dopiero bzdura! Idź już. Dobranoc.

– Wuju, przecież przed moim ślubem również mnie nie odwiedzałeś.

– Dobranoc! – powtórzył stanowczo Scrooge.

– Niczego od ciebie nie chcę, o nic cię nie proszę, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi?

– Dobranoc!

– Twoja zawziętość sprawia mi wiele bólu, wuju. Przecież w niczym ci nie zawiniłem. Przykro mi, że nie potrafisz ustąpić i zmienić swojego postępowania, jednak mimo tego zamierzam spędzić ten świąteczny czas w sposób radosny i wesoły, a tobie życzę wesołych świąt!

– Dobranoc – wysyczał przez zaciśnięte zęby Scrooge, a jego usta zmieniły barwę z sinej na białą.

Siostrzeniec wyszedł bez słowa z pokoju. Zatrzymał się jeszcze na chwilę przy kanceliście, któremu również złożył życzenia. Ku jego zdziwieniu, ten biedny człowiek, przemarznięty do szpiku kości, przyjął je o wiele goręcej niż stary Scrooge i również życzył młodzieńcowi wesołych świąt. W podziękowaniu odprowadził nawet gościa aż do przedpokoju.

– Jeszcze jeden głupiec – mruknął Scrooge z gniewem, gdy usłyszał słowa kancelisty. – Ten nędzarz, który ma na utrzymaniu żonę i gromadę dzieciaków, zarabia u mnie zaledwie 15 szylingów tygodniowo. I on mówi o wesołych świątach! To dopiero dziwactwo i głupota. W domu wariatów są rozsądniejsi ludzie niż ci dwaj szaleńcy.

Tymczasem kancelista, po pożegnaniu siostrzeńca Scrooge'a, wprowadził do pokoju swojego przełożonego nowych gości. Byli to dwaj przystojni i zadbani mężczyźni, o miłej powierzchowności, którzy w swych dłoniach trzymali spore pliki dokumentów. Nieznajomi zdjęli z głowy kapelusze i skierowali swe kroki prosto przed biurko Scrooge'a.

– Czy to przedsiębiorstwo Scrooge i Marley? – spytał uprzejmie jeden z nich, zerkając wcześniej na trzymane w dłoni dokumenty. Ukłonił się przy tym nisko.

– Pan Marley nie żyje. Dzisiejszej nocy mija dokładnie siedem lat od jego śmierci – odburknął Scrooge, który ciągle roztrząsał nieproszoną wizytę swojego siostrzeńca.

– Mamy zatem nadzieję, że, zarówno w swoim, jak i zmarłego imieniu, wesprze pan naszą organizację hojnym datkiem – odpowiedział mężczyzna i pokazał przedsiębiorcy pełnomocnictwo, upoważniające do zbierania składek na cele charytatywne.

Gdy tylko Scrooge usłyszał słowo hojny, jego twarz przeszył grymas prawdziwego wstrętu, a brwi nastroszyły się gniewnie, wyrażając tym samym dobitnie, co ich właściciel myśli o tego typu przedsięwzięciach. Natychmiast oddał nieznanemu dokument, a gest ten wykonał tak prędko, jakby chciał się wraz z pełnomocnictwem pozbyć jednocześnie obu natrętów. Mężczyzna nie dał się jednak tak łatwo zbyć gestem Scrooge'a, sięgnął po pióro i kontynuował:

– Panie Scrooge, liczymy, że w tym świątecznym okresie, kiedy nasze serca przepełnione są radością i miłosierdziem, uda nam się choć część tej radości sprezentować najbardziej potrzebującym osobom. Dlatego mamy nadzieję, że również pan zechce wspomóc naszą akcję. Są tysiące osób, których nie stać na najpotrzebniejsze rzeczy, a które dla nas są codziennością. Setki tysięcy innych ludzi walczy każdego dnia o egzystencję swoją i swoich najbliższych.

– A nie ma więzień? – zapytał ironicznie Scrooge.

– Niestety, jest ich aż zbyt wiele – odpowiedział nieznamy i opuścił niepewnie pióro.

– A przytułki? Chyba nie są zamknięte? – mówił dalej, coraz bardziej poirytowany, Scrooge.

– Nie i oby nic w tej kwestii się nie zmieniło – odrzekł drugi mężczyzna.

– A co z przytułkami z obowiązkiem pracy?! I prawem regulującym kwestie pomocy ubogim i żebrakom? – prawie wykrzyknął Scrooge.

– Instytucje te są przepełnione. A rząd opracowuje kolejne rodzaje pomocy dla tych biedaków, ale...

– A już się przeraziłem – przerwał Scrooge – że zrezygnowano z działalności tych pożytecznych zakładów. Cieszę się, że tylko źle panów zrozumiałem.

– Niestety, instytucje te nie są w stanie pomóc wszystkim potrzebującym. To zaledwie kropla w ogromnym morzu ludzkich potrzeb i nędzy. Dlatego nasza organizacja, korzystając z tego świątecznego, radosnego czasu, postanowiła przeprowadzić zbiórkę pieniędzy na najpotrzebniejsze artykuły dla ubogich: chleb, mięso, węgiel... Pomoc jest niezbędna zwłaszcza teraz, gdy za oknem mamy tak mroźną i dokuczliwą zimę. Jaką kwotę mam zapisać przy pana nazwisku?

– Żadną!

– Zatem rozumiem, że chce pan być anonimowym darczyńcą?

– Chcę, żebyście dali mi spokój! – wyszczał Scrooge. – Jeśli już pytacie mnie tak uprzejmie, czego sobie życzę, to właśnie taka jest moja odpowiedź. Nic więcej. Nie rozumiem tej całej świątecznej radości i wesołości, uczucia te są mi zupełnie obce, dlatego zatem miałbym finansować zabawę i rozrywkę próżniakom i nieudacznikom? Płacę podatki, zatem wspieram utrzymanie przeróżnych instytucji niosących pomoc. A koszty te są dla mnie znaczne. Wszyscy ci, którzy potrzebują pomocy, niech skorzystają z państwowych przytułków.

– Jak już wspomnieliśmy, przytułki te są przepełnione. Wiele osób nie może się tam dostać, a jeszcze inni woleliby raczej umrzeć niż...



– Skoro wolą umrzeć... – przerwał Scrooge – to niech umierają. W ten sposób zmniejszy się przynajmniej przeludnienie i problem sam się rozwiąże. Proszę wybaczyć, ale nie znam się na tym i nie mam czasu na dalszą rozmowę.

– Szanowny panie Scrooge, gdyby zechciał pan chociaż zapoznać się ze szczegółami, może wtedy...

– Powiedziałem już, że się na tym nie znam! Mam i tak urwanie głowy z własnymi interesami. Żegnam panów!

Nieznajomi zrozumieli, że dalsze tłumaczenia oraz wyjaśnienia i tak nie zmienią postawy przedsiębiorcy. Pożegnali się zatem i opuścili biuro. Scrooge wrócił do przerwanej niespodziewanymi wizytami pracy i stwierdził z zadowoleniem, że ostatnia rozmowa, a zwłaszcza jej ostateczny efekt, bardzo mu poprawiły humor.

Tymczasem za oknem mgła stawała się coraz gęstsza, potęgując jeszcze i tak już nieprzeniknioną ciemność. Ulicami przebiegali przechodnie z migocącymi słabym blaskiem pochodniami i latarniami. Niektórzy z nich pomagali woźnicom oświetlać drogę przed powozami zaprzęzonymi w konie. Z wieży kościelnej, zaglądalej na co dzień przez gotyckie okno do gabinetu Scrooge'a, a która teraz została zupełnie pochłonięta przez mgłę, odzywał się przeciągły jęk starożytnego dzwonu. Kościelny zegar wybijał kolejne godziny, pół godziny i kwadrans, a przemarznięci przechodnie mieli wrażenie, jakby i on szczykał zębami pod wpływem przenikającego chłodu. Robiło się coraz zimniej. Na rogu ulicy grupa robotników spawających rury gazowe rozpałała wielkie ognisko, wokół którego zebrał się tłum obdartych i drżących z zimna dorosłych i dzieci. Przemarznięci ludzie przepychali się bliżej ognia, by ugrzać zgrabiące ręce, a ich pełen zachwytu, wdzięczności i chciwości wzrok próbował pożreć gorący, niebieski płomień, jakby chcieli nim sobie wypełnić wnętrza i rozprowadzić ciepło

do każdej komórki ciała. Wokół zmarzniętego kranu od miejskiego wodociągu utworzyły się grube, lodowate sopele, które przypominały swym wyglądem komiczną, a wręcz przerażającą brodę. Światła z okolicznych sklepów i magazynów rzucały ciepły blask na blade twarze przechodniów. Wystawy sklepów kolonialnych i mięsnych wyglądały tak wspaniale, że aż trudno było uwierzyć, że kuszą swym wyglądem wyłącznie dla zysku ich właściciele, że nie kryje się za tym jakiś głębszy, artystyczny cel. W potężnym zamku Mansion-House jego właściciel – tutejszy burmistrz – wydawał właśnie rozkazy swoim kucharzom i służbie, którzy przygotowywali uroczystą wieczerzę wigilijną. W innej części miasta biedny krawiec, skazany w zeszłym tygodniu przez owego burmistrza za pijaństwo na karę w wysokości pięciu szylingów, doglądał na poddaszu świątecznego puddingu, podczas gdy jego chuda i niezwykle mizerna żona, z niemowlęciem na ręku, pobiegła kupić u sąsiedniego rzeźnika kawałek mięsa.

Mgła nadal gęstniała i oblepiała swymi mackami wszystko dookoła! Rósł też przerażający, przenikający do najgłębszych tkanek ziąb! Pod drzwiami biura Scrooge'a pojawił się mały kolędnik o zsiniałym nosku, który przybliżył się do szpary w drzwiach, by uczcić Boże Narodzenie piosenką. Jednak zdążył zaśpiewać tylko kilka pierwszych wyrazów „Hej kolęda, kolęda!”, gdyż rozgniewany przedsiębiorca tak gwałtownie chwycił w swe dłonie leżący na stole liniał, że przerażony śpiewak natychmiast zamilkł i czmychnął jak oparzony, by uniknąć namacalnego kontaktu z tym przedmiotem.

W końcu nadeszła godzina zamknięcia biura. Scrooge podniósł się z krzesła, co było również niemyym znakiem dla jego pracownika, że może udać się do domu. Biedak czekał na to już od długiego czasu. Szybko, by pracodawca się jeszcze nie rozmyślił, zgasił świecę i wziął do ręki kapelusz.

## II. W domu

– Przypuszczam, że jutro chciałby pan mieć cały dzień wolny od pracy? – zapytał z wyraźną zgryźliwością Scrooge.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu...

– Mam bardzo wiele. Powinienem właściwie odliczyć panu ten dzień od wypłaty. Wtedy dopiero narzekałby pan na swoją krzywdę i niesprawiedliwość. Jestem tego pewien! – Kancelista uśmiechnął się niepewnie, jednak był to niezwykle gorzki uśmiech.

– Nie zdaje pan sobie sprawy – kontynuował Scrooge – że taki wolny dzień, kiedy nie mam z pana żadnego, najmniejszego nawet pożytku, jest dla mnie ogromną stratą finansową i niezapłaconą krzywdą.

Mężczyzna zauważył nieśmiało, że to tylko jeden dzień w roku.

– Cóż za wytłumaczenie, by tak bezkarnie sięgać do kieszeni pracodawcy. Mam panu zapłacić za nic, tylko dlatego, że jest 25 grudnia... – odpowiedział Scrooge, zapinając nerwowo guziki płaszcza aż pod samą szyję. – Dobrze, skoro tak bardzo panu zależy na tym wolnym, proszę następnego dnia przyjść do pracy wcześniej, by odrobić zaległości i zrekompensować mi tę nieobecność. Kancelista uroczyście potwierdził, że na pewno tak się stanie, na co Scrooge tylko wzruszył ramionami i wyszedł z gabinetu, mrużąc pod nosem o lenistwie i próżniactwie urzędników. Kancelista błyskawicznie zamknął biuro, pociągnął w dół, już i tak mocno ściśnięty wokół szyi, wełniany szalik i spiesznie udał się do domu. Pod wpływem przesywającego zimna jego sylwetka skurczyła się jeszcze bardziej. Jednak radość ze zbliżającej się wigilii – pomimo nieprzyjemnej rozmowy ze Scrooge'em – wypełniała jego serce. Skręcił zatem szybko w zaułek i, potykając się na wyslizganym chodniku, pobiegł szybko do domu, żeby zdążyć zagrać jeszcze z dziećmi w ciuciubabkę.

Po wyjściu z biura, Scrooge udał się do restauracji na obiad. Lokal, w którym zazwyczaj się stołował, nie cieszył się ani dobrą opinią, ani kuchnią, zatem posiłek, który mu podano, również nie należał do wykwintnych. Kiepskie jedzenie jednak nie przeszkadzało Scrooge'owi. Przedsiębiorca skupił bowiem całą swą uwagę najpierw na czytaniu aktualnych gazet, a następnie, z wyrazem nieskrywanej radości, zajął się zapisywaniem w notesie dzisiejszych zysków oraz planów i pomysłów na kolejne dni. Zbliżała się już północ, gdy zakończył sporządzanie notatek, wstał od stołu i poszedł do domu, by położyć się spać. Lokal, który obecnie zajmował sam, należał kiedyś również do jego wspólnika. Mieszkanie, składające się z kilku ciemnych pokoi, znajdowało się w wyjątkowo ponurym budynku usytuowanym w głębi niezwykle wąskiej uliczki. Ulica ta była tak mała i niepozorna, a sam budynek tak odosobniony, że sprawiał wrażenie, jakby ukrył się tu kiedyś podczas zabawy w chowanego z innymi domami, a zgubiwszy drogę, nie mógł się już stąd wydostać. Dziś ten sypiący się ze starości i zapomniany dom, zamieszkiwany był tylko przez Scrooge'a, co tylko potęgowało jego ponury obraz. W pozostałych lokalach mieściły się magazyny i sklepy, które po zmroku były już opustoszałe. Wokół budynku roztaczała się zatem nieprzenikniona ciemność. Również dziedziniec był zupełnie nieoświetlony, dlatego Scrooge, choć wydawało się, że zna tu niemal każdy kamień, szedł po omacku i musiał asekurować się rękami, by nie upaść. Mgła, która opadła na miasto, ze zdwojoną siłą zaatakowała tę zapomnianą uliczkę i stary budynek, jakby chciała wcisnąć się w jego każdą szczelinę. Oblodzone, otoczone licznymi soplami drzwi jeszcze bardziej potęgowały to nieprzyjemne wrażenie, jakby na progu domu rozsiadł się jakiś przedziwny duch zimy i tkwił tam w głębokim zamyśleniu.



GROUND SUBWAY

28

Bosny & Co 94

Alroy's

Na drzwiach domu, zamiast dzwonka, znajdowała się kołatka. Urządzenie to nie różniło się niczym specjalnym od podobnych kołatek zamieszczonych na setkach innych drzwi okolicznych budynków. Może było ciut grubsze i masywniejsze. To wszystko. Scrooge widywał je każdego ranka i wieczora, odkąd zamieszkał w tym domu. Tym razem również, podczas wkładania klucza do zamka drzwi, wzrok przedsiębiorcy mimowolnie padł na kołatkę, jednak zamiast tak dobrze znanego urządzenia Scrooge z przerażeniem ujrzał... twarz Marleya! W tym miejscu pozwolił sobie na pewną dygresję. Otóż Scrooge, jak przystało na prawdziwego mieszkańca Londynu, niezwykle trzeźwo stąpał po ziemi, a do życia podchodził wyjątkowo realnie. Nadmiernie pobudzona wyobraźnia czy myślenie o sferze nadprzyrodzonej były mu zupełnie obce. Od śmierci Marleya nie wspominał go także, z wyjątkiem ostatniej rozmowy z przedstawicielami fundacji, lecz ich też tylko poinformował, że współnik zmarł siedem lat temu. I tyle. Skąd zatem tak wyraźne przywidzenie? Nie jakiś zamglony cień czy niewyraźny kształt, lecz prawdziwa twarz otoczona dziwnym, promieniującym blaskiem? Marley patrzył na Scrooge'a tak jak zazwyczaj, bez gniewu, spod podniesionych na czoło okularów. Jego włosy były rozwiane i potargane przez wiatr. Jednak to wzrok współnika nappełnił Scrooge'a prawdziwym przerażeniem. Oczy bowiem były otwarte i zupełnie nieruchome, wpatrzone w jakiś oddalony, nieokreślony punkt. Uczucie przerażenia potęgowała grobowa bladość. Cała ta nierealna sytuacja zmusiła Scrooge'a do uzmysłowienia sobie jej absurdalności. Przedsiębiorca spojrzawszy zatem ponownie w skupieniu na straszne widziadło, lecz tym razem ujrzał tylko tak dobrze znaną kołatkę.

Choć uczucie strachu od czasów dzieciństwa było Scrooge'owi obce, tym razem przypomniało o sobie ze zdwojoną siłą. Przedsiębiorca jednak zapanował nad nim, przekręcił klucz w zamku i wszedł do ciemnego przedpokoju. Z kieszeni płaszczka wyciągnął świeczkę, a jej blask wkrótce

oświetlił nieduże pomieszczenie. Zanim zamknął drzwi, spojrzawszy niepewnie za siebie, jakby chciał się upewnić, że zjawa nie wciska się do środka przez dziurkę od klucza. Za drzwiami było jednak ciemno, a kołatka, jak gdyby nigdy nic, wisiała na swoim miejscu.

– Co za bzdura! – wykrzyknął sam do siebie, jednocześnie zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi od domu. Huk był tak mocny, że rozniósł się głuchym echem po całym budynku, od piwnicy, po każdy pokój na piętrze. Jednak hałas nie zrobił na nim żadnego wrażenia. Scrooge zamknął starannie drzwi i wszedł na ogromne, szerokie schody, świecąc sobie po drodze cienką świeczką. Niepozorny płomyk świeczki zupełnie ginął w otaczającej wszystko wokół ciemności. Schody prowadzące na piętro były bowiem tak szerokie, że mogłaby po nich przejechać nie tylko sześciokonna kareta, ale nawet karawan pogrzebowy z całym konduktem zmieściłby się na tej konstrukcji. Scrooge jednak zupełnie nie przejmował się ciemnością i obojętnie szedł na górę. Ciemność przecież niewiele kosztuje, więc przedsiębiorca tym bardziej ją szanował. Przed wejściem do mieszkania Scrooge rozejrzał się raz jeszcze, by upewnić się, czy wszystko na pewno jest w porządku. Następnie sprawdził salon oraz sypialnię – wszystko było tak, jak dawniej. Scrooge zajrzał pod stół, pod łóżko, a nawet do wiszącego na kołku od szafy szlafroka, lecz nikogo nie było w mieszkaniu. W kominku tlił się niewielki ogień, a na kominku stała filiżanka, garnuszek z kleikiem (od kilku dni Scrooge nie czuł się najlepiej) oraz łyżeczka. Również w składziku rupieci nic się nie zmieniło – stare cęgi, żelazne haczyki, kilka par zużytych butów, połamane kosze, zardzewiałe gwoździe, umywalka, walizka i jakiś stary kuferek – wszystko było na swoim miejscu.

Scrooge, zupełnie już uspokojony, jeszcze raz obejrzał zamek i przekręcił dwukrotnie klucz. Następnie rozebrał się, zdjął krawat, włożył szlafrok i pantofle, i usiadł przed kominkiem, by wypić przygotowany rano kleik. Niestety, ogień palący się w kominku był tak niewielki, że

przedsiębiorca musiał przysunąć się do niego bardzo blisko, by poczuć choć odrobinę ciepła. Kominek w mieszkaniu Scrooge'a ozdabiała stare kafle flamandzkie, przedstawiające sceny z Pisma Świętego. Na jednym był Kain, na drugim Abel, na kolejnych córka faraona – królowa Saba, aniołki na chmurach, Abraham i Baltazar czy apostołowie w łodziach przypominających swymi kształtami półmiski i salaterki. Ozdobne kafle prezentowały zatem cały przekrój różnorodnych postaci, jednak Scrooge miał nadal przed oczami przerażające widmo twarzy Marleya. Wspomnienie zmarłego stało się tak silne i namacalne, że przedsiębiorca zupełnie nie potrafił się go pozbyć.

– Bzdury! – zawołał nagle i zerwał się z fotela – co za bzdury! – Scrooge zaczął nerwowo przemierzać pokój wzdłuż i wszerz. Powtórzywszy ten spacer kilkanaście razy, usiadł ponownie. Zmęczony oparł głowę na fotelu, a jego wzrok padł, zupełnie przypadkiem, na umieszczony nad kominkiem dzwonek. Urządzenie połączone było specjalnym drutem z piwnicą, jednak od wielu lat nikt z niego nie korzystał. Nagle, ku ogromnemu zdziwieniu i przerażeniu Scrooge'a, dzwonek zaczął się poruszać. Początkowo jego ruchy były ledwie zauważalne i towarzyszył im cichy, stłumiony dźwięk. Jednak stopniowo dźwięk dzwonka stawał się coraz bardziej natarczywy i gwałtowny, aż nagle w całym domu rozdzwoniły się wszystkie dzwonki. Choć ten przerażający hałas trwał może minutę, Scrooge miał wrażenie, jakby upłynęła cała godzina.

Cisza, która nagle zapadła w budynku, nie trwała długo. Przerwał ją bowiem inny, równie przerażający odgłos. Z otchłani piwnicy dochodził głuchy dźwięk – jakby ktoś przeciągał długi, żelazny łańcuch po wszystkich beczkach znajdujących się w magazynie właściciela winiarni. Przerażony Scrooge przypomniał sobie dawne opowieści swojej niańki o nawiedzonych domach i potępionych duchach ciągnących za sobą łańcuchy i kajdany. Tymczasem drzwi od piwnicy otworzyły się z hukiem, a dźwięk

– dobiegający początkowo z samego dołu – zaczął rozbrzmiewać coraz wyraźniej, najpierw w przedpokoju, a następnie na schodach prowadzących do jego mieszkania. Oniemniały z przerażenia Scrooge teraz już niezwykle wyraźnie słyszał kroki i szuranie zbliżającej się postaci oraz zgrzyt ciągniętego po schodach łańcucha.

– Bzdury! To jakieś bzdury! To wszystko tylko mi się wydaje! – wyszeptał pobladły Scrooge. W tym samym momencie straszne widmo bez najmniejszego problemu przeniknęło przez zamknięte drzwi i stanęło przed nim pośrodku jego mieszkania. Tłący się do tej pory w kominku ogień buchnął nagle ogromnymi płomieniami, a z trzaskających węgli wydobył się wyraźny głos „Poznaję go, poznaję. To widmo Marleya”. Potem ogień zgasł.

Oczom Scrooge'a ukazała się ta sama twarz, co na drzwiach! Ta sama postać! To Marley! W swojej zwykłej kamizelce, w codziennych krótkich spodniach, w butach węgierskich, w zaplamionym surducie. Postać miała przymocowany do bioder potężny łańcuch, który oplatał ją kilkakrotnie niczym ogromny, poskręcany wąż i ciągnął się daleko po podłodze. Ta niepojęta płatanina łańcucha, kłódek, kluczy, zamków, mosiężnych klamer, do których przymocowane były przeróżne księgi rachunkowe i ciężkie, metalowe kasetki, tworzyła naprawdę przerażający widok. Wrażenie to potęgował obraz ciała widma, które było tak przezroczyste, że Scrooge wyraźnie widział dwa guziki przyszyte z tyłu surduta.

Za życia wspólnika Scrooge wielokrotnie słyszał, że Marley nie ma serca, lecz nigdy nie przywiązywał większej wagi do tych słów. Teraz mógł się o tym przekonać na własne oczy, lecz przedsiębiorca jeszcze nie wierzył w to, co widział. I choć patrzył na stojącego naprzeciwko niego wspólnika, choć przenikał jego ciało i czuł na sobie lodowaty wzrok zastygłych źrenic, choć rozpoznał wyraźnie deseń jego jedwabnej chustki zawiązanej pod brodą (kupili kiedyś razem cały tuzin takich chustek), to jego umysł jeszcze walczył ze zmysłami. Jeszcze nie mógł i nie chciał uwierzyć.



– Co to ma znaczyć? – rzekł lodowatym głosem. – Czego ode mnie chcesz?

– Wiele! Bardzo wiele! – odpowiedziała zjawa, a Scrooge nie miał już żadnej wątpliwości, że głos, który właśnie usłyszał, należy do Marleya. Jednak zapytał jeszcze, jakby potrzebował ostatecznego dowodu

– Kim jesteś?

– Zapytaj raczej, kim byłem! – usłyszał w odpowiedzi.

– Zatem kim byłeś? – odrzekł Scrooge, podnosząc głos. – Jesteś dość drobiazgowy jak na upiora.

– Byłem twoim współnikiem. Nazywam się Jakub Marley.

– Czy mógłbyś... Czy możesz usiąść? – zapytał Scrooge, patrząc wciąż z niedowierzaniem na przybyłą postać.

– Oczywiście, mogę.

– Siadaj zatem.

Skierowana do zjawy prośba nie była zupełnie przypadkowa i nieprzemyślana. Scrooge miał bowiem nadzieję, że przezroczyste widmo nie będzie potrafiło wykonać tej prostej czynności, a cała sytuacja okaże się tylko dziwnym przywidzeniem i w ten sposób uda się ją wyjaśnić i zakończyć. Lecz upiór bez najmniejszego problemu usiadł naprzeciwko niego, po drugiej stronie kominka.

– Nadal nie wierzysz? – odrzekł duch.

– Nie wierzę – odpowiedział Scrooge.

– Jak mam cię zatem przekonać, jeśli nie wierzysz własnym zmysłom?

– Sam nie wiem.

– Chyba nie wątpisz w swój dobry wzrok i słuch?

– Wątpię, ponieważ wiele różnych czynników może wywołać przywidzenia. Nawet lekka niestrawność może wpłynąć na nasze zmysły. Może jesteś więc tylko skutkiem zjedzenia kawałka niedogotowanej wołowiny, niestrawionej cząstki tłuszczu albo sera? Jakoś nie czuć cię trumną.

Scrooge, który nigdy wcześniej nie żartował, tym razem jednak próbował zamienić całą sytuację w dowcip. Była to z jego strony rozpaczliwa próba przezwyciężenia strachu, który coraz bardziej oplatał go swoimi mackami. Głos widma przejmował go bowiem lodowatym dreszczem i ścinał mu szpik w kościach, a patrzenie w te nieruchome, szkliste oczy było dla Scrooge'a straszliwą męczarnią. Przerazenie potęgowało nawet powietrze otaczające zjawę. Czuło się w nim bowiem wyraźnie coś nierealnego, niezmiernego, ponieważ – choć duch Marleya siedział zupełnie nieruchomo – jego włosy i każdy najdrobniejszy element ubrania nieustannie się poruszały – jakby pod wpływem jakiejś pary wydobywającej się z niewidzialnego kotła.

– Czy widzisz to pióro? – zapytał nagle Scrooge, chcąc tym pytaniem choć na chwilę odwrócić od siebie upiorne spojrzenie swojego gościa.

– Widzę – odpowiedział duch.

– Mimo że nie patrzysz w tę stronę? – zdziwił się Scrooge.

– To mi zupełnie nie przeszkadza.

– Dobrze – kontynuował Scrooge. – Wyobraźmy sobie zatem, że je połknąłem. Przecież coś takiego od razu spowoduje gorączkę, przeróżne bóle, a nawet przywidzenia i majaki. To wszystko to zatem tylko wytwór mojej wyobraźni. Bzdury! Po prostu bzdury!

Na dźwięk ostatniego wypowiedzianego przez przedsiębiorcę słowa duch zawył przeraźliwie. Jednocześnie zaczął groźnie potrząsać łańcuchami, których przeciągły, grobowy szcęk rozniósł się strasznym echem w każdym pomieszczeniu tego ponurego domu. Scrooge zachwiał się i o mało nie upadł z przerażenia. W ostatniej chwili wbił paznokcie w poręcz fotela. Nie był to jednak koniec. Zjawa – jakby pod wpływem nagłego gorąca – zdjęła zawiązaną pod brodą chustę, a wtedy dolna szczeka opadła z głuchym łoskotem na jej pierś.

– Litości! – zawołał przerażony Scrooge. – Litości! Dlaczego przyszedłeś mnie dręczyć?

– Nikczemniku – odpowiedziało widmo – czy teraz już wierzysz?

– Wierzę – wyjąkał Scrooge. – Wierzę, choć nie rozumiem, dlaczego do mnie przyszedłeś? Dlaczego nie dasz mi spokoju?

– Celem egzystencji każdego człowieka jest życie razem z innymi ludźmi, budowanie wspólnego dobra, wspólna praca, dzielenie się radością, szczęściem, ale również solidarność w nieszczęściu innych – odrzekło widmo Marleya. – Ten, kto już za życia wybiera samotną drogę i odłącza się od ludzi, po śmierci skazany będzie na wieczne potępienie i tułaczkę. Tak jak ja! Martwy świadek tych wszystkich spraw, w których nigdy nie chciałem brać udziału!

Duch ponownie zadzwonił łańcuchami i z rozpaczy załamał ręce. Wydał przy tym jęk, lecz tym razem był on przepełniony ogromnym, nieodgadnionym smutkiem.

– Dlaczego jesteś skuty łańcuchem i kajdanami? – zapytał drżącym z przerażenia głosem Scrooge.

– Dźwigam łańcuch, który sam przez całe moje życie sobie wykułem – odpowiedziało widmo. – Każdego dnia, godzina po godzinie łączyłem i dorabiałem kolejne ogniwa tego łańcucha. Sam skrępowywałem nim swoje ciało i będę go dźwigać wiecznie. Wiecznie! Spójrz na te więzy na moim łańcuchu. Nie wydają ci się znajome?

Scrooge drżał jak liść, a zjawa kontynuowała swoją przedziwną opowieść.

– Zastanów się, jak długi i ciężki jest łańcuch, który ty ciągniesz za sobą? Siedem lat temu był on równie okazały, jak mój. Jednak ty nie zakończyłeś jego wykuwania. Przez te siedem lat dorabiałeś mozolnie kolejne jego ogniwa. Dziś musi być naprawdę imponujący!

Przerażony Scrooge rozejrzał się gwałtownie wokół siebie, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście za jego plecami nie ciągnie się kilkudziesięciometrowy, żelazny łańcuch. Nic jednak nie zobaczył.

– Jakubie – rzekł błagalnie do dawnego współnika – proszę cię, powiedz, że to nieprawda, że to tylko jakiś okrutny żart. Zostaw mi choć cień nadziei.

– Niestety, nie wysłano mnie do ciebie ani z nadzieją, ani z pocieszeniem, Ebenezerze. To nie moje zadanie. Zresztą to uczucie było ci przecież dotąd zupełnie obce, dlatego posłańcy, którzy je niosą, nie przyjdą do ciebie. Chciałbym ci powiedzieć więcej, ale nie mogę. Uwierz mi, mam związane usta. Zresztą nie mam już czasu. Nie wolno mi ani odpoczywać, ani zatrzymać się dłużej w jednym miejscu. Znałeś mnie, jak nikt inny. Dobrze zatem wiesz, że podczas życia moje myśli, praca i uczucia były związane tylko i wyłącznie z naszym przedsiębiorstwem. Nigdy myślam nie opuściłem biura. Teraz muszę za to odpokutować. Czekam na mnie jeszcze długa i ciężka droga do przebycia.

W chwilach głębokiego zamyślenia Scrooge – zupełnie nieświadomie – wkładał ręce do kieszeni. Tak też uczynił i tym razem, choć cały czas klęczał.

– To straszne! Te łańcuchy, ta wieczna wędrówka... Straszne! – mówił jakby sam do siebie Scrooge – To dlatego, że ciągle byłeś w biurze? Że spóźniłeś się z tym za życia?

– Spóźniłem?! Raczej zaniedbałem to, co ważne! – odrzekł duch. – Co mnie interesowało poza firmą? Nic! Zupełnie nic!

– Siedem lat... – wybąkał w zamyśleniu Scrooge – siedem lat nieustannej podróży. Naprawdę ciągle byłeś w drodze? Bez najmniejszej przerwy?

– Tak, siedem lat bez odpoczynku, bez wytchnienia. Przez te siedem lat moim jedynym towarzyszem były wyrzuty sumienia i wieczne zgryzoty.

– Szybko podróżujesz?

– Niosą mnie skrzydła wiatru.

– Zatem zdążyłeś już chyba oblecieć cały świat?



Na te słowa widmo wydało z siebie przytłumiony, pełen głębokiej rozpaczny jęk. Dźwięk był tak przerażający, że Scrooge'owi aż zaparło dech w piersiach a włosy na jego głowie stanęły dęba.

– Jestem więźniem, którego skuto tymi ciężkimi łańcuchami i skazano na wieczną tułaczkę, rozumiesz? Moja droga nie ma końca. Muszę błąkać się po świecie i patrzeć na to, czego nie dostrzegałem podczas mojego krótkiego życia. Ponieważ za życia nie widziałem drugiego człowieka, jego potrzeb, radości i smutków, a skupiłem się wyłącznie na sobie i swoich korzyściach, zyskach, to moja pokuta teraz nie będzie mieć końca. Żal, który obecnie przepełnia mi duszę, nie jest w stanie wynagrodzić tamtych straconych chwil. Nic już nie cofnie czasu i nie zmieni przeszłości! Sam stworzyłem ten łańcuch, który teraz ciągnę. Sam zgotowałem sobie taki los. A wszystko przez zaniedbania za życia.

– Przecież zawsze byłeś bardzo sumienny, pracowity, bystry – wtrącił Scrooge, który jednocześnie w myślach analizował własne życie.

– Interesy! – jęknął duch i ponownie załamał ręce, jakby tym gestem chciał wyrzucić z siebie całą rozpacz. – Praca i interesy! Zyski! Tylko to się dla mnie liczyło. A drugi człowiek? Cóż mnie obchodził drugi człowiek, miłość, litość, dobroć, pobłażliwość?! Nic! Te uczucia były mi zupełnie obce. A przecież to właśnie drugi człowiek jest najważniejszy. Tym powinienem się zajmować za życia. Biznes, zyski, samolubne korzyści – po to stworzył nas Bóg? To jakieś szaleństwo! – zjawa nagle podniosła w górę skute kajdanami ręce, jakby jeszcze raz chciała unaocznic Scrooge'owi bolesny i ciężki owoc pracy oraz wysiłków całego swojego życia. Następnie opuściła je z rozpaczą i zniechęceniem.

– Dziś, w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy kolejny rok się kończy, a ludzie cieszą się i radują, ja muszę cierpieć najgorsze męki. Święta to wyjątkowy czas, kiedy gwiazda wskazuje nam właściwą drogę, prowadzi nas do stajenki w Betlejem, do Zbawiciela. Tak samo, jak kiedyś przypro-

wadziła tam mędrców. Ale ja Go nie widziałem. Tak jak nie widziałem gwiazdy i tej drogi, którą wyznaczyła. Nie widziałem ubogich, nędznych mieszkań, nie widziałem potrzebujących ludzi, choć światło gwiazdy świeciło jasnym blaskiem.

Opowieść dawnego współnika obudziła w Scrooge'u dziwny lęk, a w jego duszy pojawiło się nagle dawne, bardzo dawne wspomnienie. Przedsiębiorca drżał i trząsł się, jakby jego ciało opanowała wysoka gorączka.

– Posłuchaj mnie, proszę! – zawołał duch. – Mój czas ucieka.

– Słucham – odrzekł płaczącym głosem Scrooge. – Słucham cię, lecz proszę, skończ już swoją opowieść i odejdz.

– Nie wiem, dlaczego tym razem stanąłem przed tobą w ziemskiej postaci. Gdy byłem niewidzialny, często ci towarzyszyłem, choć o tym nie wiedziałeś.

Świadomość, że niewidzialny duch współnika wielokrotnie go odwiedzał, wywołała u Scrooge'a kolejny przeszywający dreszcz, a na czoło wystąpiły mu lodowate krople potu, które zaczęły spływać po twarzy i karku.

– Dziś przyszedłem cię ostrzec – kontynuował duch. – Jest jeszcze słaby promyk nadziei i ratunku dla ciebie. Możesz uniknąć mego losu, Ebenezerze.

– Zawsze byłeś dobrym współnikiem i życzliwym przyjacielem, Jakubie. Zapisałeś mi cały majątek... – odrzekł Scrooge. Na te słowa dziwny, okropny i szyderczy uśmiech wykrzywił twarz Marleya.

– Odwiedzą cię jeszcze trzy duchy – dodało widmo. Twarz Scrooge'a przybrała na tę wiadomość trupioblady odcień.

– Więc to ma być ta nadzieja? – ledwo wyszeptał Scrooge.

– Tak.

– Nie ma innej możliwości, jakiegoś innego sposobu? Ja wolałbym... Ja nie mogę... – próbował wydusić z siebie Scrooge.

– Bez tych odwiedzin nie ma dla ciebie ratunku. Przygotuj się i czekaj. Pierwszy z nich przyjdzie do ciebie jutro, gdy zegar na wieży wybije w nocy pierwszą godzinę.

– A czy wszyscy trzej nie mogliby przyjść od razu? Tak byłoby już chyba lepiej i pręcej – wyszeptał Scrooge.

– Drugi duch zjawi się kolejnej nocy o tej samej godzinie, a trzeci zjawi się trzeciej nocy, gdy zegar wybije północ. Mnie nie zobaczysz już nigdy, lecz zapamiętaj, proszę, nasze spotkanie i to, co ci powiedziałem, dla własnego dobra.

Widmo podniosło z ziemi chustę i podwiązało nią ponownie szczękę. Scrooge usłyszał uderzenie a następnie chrzęst górnych i dolnych zębów. Podniósł wzrok i spojrzał na postać Marleya. Duch stał przed nim i poprawiał na sobie długi łańcuch. W pewnym momencie zjawa zaczęła powoli cofać się w stronę okna, które za każdym jej krokiem otwierało się coraz szerzej, a gdy upiór do niego doszedł, było już zupełnie otwarte. Marley dał znak Scrooge'owi, aby się przybliżył. Przedsiębiorca posłusznie wykonał polecenie, a gdy był już o jakieś dwa kroki, widmo zatrzymało go ruchem ręki. W tym samym momencie rozległo się wokół nich wiele przeróżnych i przenikających się głosów: jęków rozpacz, skarg, żali i płaczów. Jakby cały zastęp potępionych dusz zleciał się do mieszkania Scrooge. Przerażony przedsiębiorca natychmiast stanął. Marley przez chwilę wsłuchiwał się w te odgłosy, a następnie westchnął głęboko i nagle rozplątał w tej ponurej nocy wraz z odgłosami czyszcowego chóru.

Scrooge, jakby pod wpływem jakiejś niewidzialnej siły, zbliżył się do okna i wyjrzał na zewnątrz. Powietrze za oknem było gęste od unoszących się tajemniczych, błędnych cieni, wydających z siebie przeciągłe, głębokie westchnienia. Każda zjawa dźwigała ciężkie okowy, podobne do łańcucha Marleya. Niektóre postaci skute były razem. Scrooge przyjrzał się im uważnie. Wiele z nich znał osobiście. Dostrzegł wśród nich nawet



swojego bliskiego klienta. Poznał go od razu po białej kamizelce, złotych okularach i złośliwym uśmiechu. Duch ten miał ogromną kulę przyczepioną olbrzymim łańcuchem do prawej nogi. Scrooge obserwował, jak jęcząca przeraźliwie zjawa dawnego kontrahenta próbowała pomóc żebrzącej kobiecie z dzieckiem na ręku. Niestety, bezskutecznie. Na tym bowiem polegało wieczne cierpienie pokutujących dusz. Próbowaly one wyświadczyć innym jakiś dobry uczynek, choć drobną przysługę, by w ten sposób nadrobić zaniedbania, które za życia przyniosły tyle cierpienia innym ludziom. Ich starania nie przynosiły jednak żadnego, nawet najmniejszego efektu. Było już dla nich za późno na ratunek. Pozostała wieczna pokuta.

Straszne cienie i widma zaczęły stopniowo znikać gdzieś w przestworzach, cichły, przepadały, jakby pochłonęła je wszechobecna mgła, jakby stały się jej nieodłączną częścią. Powróciła spokojna, cicha, zimowa noc. Scrooge cofnął się do mieszkania i starannie zamknął okno. Następnie podszedł do drzwi, przez które przecisnął się duch Marleya i dokładnie je obejrzał. Lecz nie zauważył w nich żadnej zmiany. Drzwi były zamknięte na dwa spusty, klamka, klucz, zasuwka – wszystko było na swoim miejscu. Jak przedtem! Przedsiębiorca chciał już zawołać: bzdury! Lecz tylko otworzył i zamknął usta. Nagle poczuł ogromne, potworne wręcz zmęczenie, które ciążyło w każdym najdrobniejszym kawałku jego ciała. Zawlókł się do łóżka i rzucił na nie w ubraniu. Padł, pogrążony w letargicznym śnie.

### III. Pierwszy z trzech duchów

Scrooge ocknął się nagle. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność. Jedynie przezroczyste okno niewyraźnie odbijało się na czarnym tle ściany. Podczas gdy przedsiębiorca z natężeniem wpatrywał się w otaczającą go ciemność, zegar na wieży sąsiedniego kościoła zaczął wybijać godzinę. Mężczyzna ze skupieniem nasłuchiwał kolejnych uderzeń. Echo ciężkiego dzwonu odbijało się od ścian. Sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... dwanaście. Północ?! Scrooge był pewien, że było kilka minut po drugiej, gdy kładł się spać. Widocznie zegar kościelny źle chodzi. Może jakiś sopel lodu wpadł do środka i przestawił cały mechanizm? Scrooge sięgnął zatem do leżącego obok niego kieszonkowego zegarka i wcisnął jego sprężynę, aby sprawdzić, która rzeczywiście jest godzina. Małeńki młoteczek zegara uderzył szybko dwanaście razy i zatrzymał się.

– Coto ma znaczyć? To niemożliwe! – rzekł do siebie. – Chyba przespałem cały dzień i część kolejnej nocy. Przecież słońce nie mogło się pomylić.

Zaniepokojony wyskoczył z łóżka i po omacku, wyciągając przed siebie ręce, podszedł do okna. Następnie przetarł rękawem szlafroka zamarzniete szyby, aby cokolwiek zobaczyć. Za oknem panowała jednak równie nieprzenikniona ciemność, którą potęgowała gęsta, lepiała się mgła. Przez cienkie szyby czuć było siarczysty mróz. Scrooge słuchał przez chwilę, lecz wokół było niezwykle cicho. Żadnych szmerów, żadnego ruchu, kroków czy głosów. Nic. Zapewne wszyscy głęboko śpią, przecież to zwyczajna noc. Słońcu nic się nie stało. Scrooge odetchnął spokojniej, bo co by było z wystawianymi przez niego wekslami, za które zapłatę otrzymywał przecież we dnie, gdyby nagle zapanowała na świecie nieprzenikniona, niekończąca się noc?

Postanowił wrócić do łóżka i położyć się jeszcze, ale jego myśli były zaprzątnięte niezwykłymi wydarzeniami minionej doby. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej plątał się w domysłach. Nie mógł zrozumieć tego, czego niedawno sam był świadkiem. Przerazające wspomnienie zmarłego współnika ciągle wracało. Scrooge próbował racjonalnie wytłumaczyć sobie całą tę niedorzeczną sytuację. „To był przecież tylko zły sen albo jakieś przywidzenie spowodowane przemęczeniem lub niestrawnością. Nie ma o czym myśleć. Bzdury!” – wmawiał sobie. Jednak gdy tylko tak pomyślał, momentalnie poczuł, że sam siebie oszukuje. I że właściwie nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie: czy to był sen czy jawa? Rozmyślania mężczyzny przerwało trzykrotne bicie zegara, oznajmiające, że minęły kolejne trzy kwadransy. Wtedy przypomniał sobie przepowiednię Marleya. Dokładnie o pierwszej ma pojawić się pierwszy z trzech zapowiedzianych duchów. Zatem pozostał jeszcze kwadrans oczekiwania i za chwilę cała zagadka zostanie rozwiązana. Scrooge nie czuł się senny. Wręcz przeciwnie. Był tak rozdrażniony całą tą niewytłumaczalną sytuacją, że łatwiej by mu teraz było schwytać księżyc niż zasnąć. Czas jednak dłużył mu się tak niemiłosiernie, że kilkakrotnie myślał już, że zasnął i nie słyszał bijącego zegara. Wreszcie z kościelnej wieży rozległy się miarowe uderzenia. Bim – kwadrans – rzekł Scrooge. Bim – wpół. – Bim – trzy kwadransy. – Bim – pierwsza! – wykrzyknął z radością. – Nikt nie przyszedł!

Słowa te wypowiedział, zanim zegar ucichł. Gdy z kościelnej wieży wybrzmiało ostateczne uderzenie, pokój rozświetliło nagle tajemnicze, niezemskie światło. Scrooge z narastającą trwogą patrzył na boczne firanki, która gwałtownie się rozsunęły, a oczom przedsiębiorcy ukazało się, przepowiedziane przez Marleya, widomo. Scrooge skoczył na równe nogi i stanął ze zjawą oko w oko.



Przedziwna to była postać... z jednej strony młoda, wręcz dziecinna, lecz z drugiej podobna do starca, który – jakby pod wpływem jakiegoś złudzenia optycznego, wywołanego jaśniejącą wokół aurą – zmalał do rozmiarów dziecka. Po szyi i ramionach widma spływały białe jak u starego człowieka włosy, lecz jego rumiana, gładka, bez najmniejszej zmarszczki twarz stanowiła zupełne ich przeciwieństwo. Postać miała długie, żylaste ramiona. Muskularne ręce sprawiały wrażenie niezwykle silnych. Kształtne nogi i stopy były zupełnie nagie. Zjawa miała na sobie białą tunikę, którą w pasie oplatał jaśniejący żywym blaskiem pas. W rękę trzymała gałązkę zielonego świerku. Zupełnym przeciwieństwem tego jakże oczywistego symbolu zimy była szata widma, ozdobiona wieńcami i girlandami najpiękniejszych letnich kwiatów. Lecz najdziwniejsze wrażenie sprawiało tajemnicze światło jaśniejące wprost z głowy postaci, rozświetlające wszystko wokół. Upiór w drugiej dłoni trzymał wielki, spiczasty gaśnik do świec, pełniący rolę osobliwego kapelusza, którym widmo, w momencie smutku bądź zamyślenia, nakrywało głowę i tłumilo rażące światło.

Scrooge, gdy tak przypatrywał się przybyszowi z wielką wnikliwością, dostrzegł kolejną, niezwykle osobliwą rzecz. Pas zjawy migotał nieziemskim, jakby ruchomym blaskiem, który przypominał płomienie żarzących się węgli. Błyszczał i skrzył się w jednym miejscu, by za chwilę rozbłysnąć w innej części, wcześniej zupełnie ciemnej. Pod wpływem tego migocącego światła cała postać ulegała drganiom i niewytłumaczalnym przeobrażeniom. Raz wydawało się Scrooge'owi, że zjawa ma tylko jedną rękę bądź nogę, by już za chwilę mieć tych nóg i rąk dwadzieścia. Chwilami ukazywał się tylko tułów bez głowy, a w kolejnej sekundzie widoczna była już tylko sama głowa. Znikające w ciemności członki, po chwili rozbłyskały nowym światłem, w którym cała postać nagle ukazywała się w swym pierwotnym wyglądzie.

– Czy ty jesteś tym duchem, którego przyście zapowiedział mój wspólnik? – zapytał Scrooge.

– Tak, to ja! – odpowiedziała zjawa, a jej niezwykle cichy, słodki i przyjemny głos dolatywał gdzieś z oddali.

– Kim jesteś? – zapytał ponownie Scrooge.

– Jestem duchem wszystkich ubiegłych Wigilii Bożego Narodzenia.

W tym momencie Scrooge, choć sam nie wiedział dlaczego, poczuł gwałtowną potrzebę zobaczenia zjawy w jej dziwnym nakryciu głowy. Bez chwili namysłu i wahania poprosił zatem o założenie kapelusza.

– Jak to! – zawołało widmo – Chcesz tak szybko przygasić to światło, które ci przynoszę? Nie dość, że muszę go czasem zakładać, by nie oświecać światłem niegodziwości i zbrodni ludzkich, to jeszcze ty, którego pragnę ocalić, prosisz mnie o coś takiego!

Scrooge z pokorą zaczął się tłumaczyć, że nie miał zamiaru obrazić ducha, a jego prośba wynikała tylko z czystej niewiedzy. Wreszcie ośmielił się zapytać, jaki jest prawdziwy powód tych odwiedzin.

– Twoje szczęście i przyszłość – odrzekł upiór.

Na te słowa Scrooge wyraził swą wdzięczność, jednak w duszy pomyślał sobie, że niezakłócony sen i spokojna noc byłyby dla niego wystarczającym szczęściem. Duch, jakby słyszał myśli przedsiębiorcy, gdyż dodał prędko:

– Twoje nawrócenie! Uważaj zatem! – w tym samym momencie zjawa wyciągnęła rękę i lekko chwyciła Scrooge'a za ramię. – Chodź ze mną!

„Brrr!” – pomyślał Scrooge, który chętnie znalazłby jakąś wymówkę, by uniknąć tej podróży i wskoczyć ponownie do nagrzanego łóżka. Czuł jednak, że ani niesprzyjająca pogoda i panujące na zewnątrz zimno, ani zbyt lekkie ubranie – mężczyzna miał bowiem na sobie tylko szlafrok i cienkie pantofle, ani fakt, że jest chory i zakatarzony, nie przekonają ducha do zmiany decyzji. Uznał zatem, że wszelki sprzeciw byłby daremny,



tym bardziej, że nie potrafił oprzeć się delikatnemu uściskowi zjawy – lekkiemu, jak dotknięcie ręki dziecka, a jednocześnie stanowczemu i silnemu, jakby chwyciły go żelazne kleszcze. Podniósł się zatem, lecz gdy zauważył, że duch zmierza w kierunku okna, pochylił się błagalnie i rzekł:

– Jestem zwykłym śmiertelnikiem! Nie potrafię latać!

– Wystarczy, że cię tu dotknę – powiedziało widmo i położyło rękę na jego sercu. – Teraz nie musisz się już niczego bać.

W mgnieniu oka oboje przeniknęli przez zamknięte okno i znaleźli się na wiejskiej drodze, biegnącej wśród rozległych pól i łąk. Miasto znikło bez śladu, podobnie jak ciemna, nieprzenikniona noc i mgła. Wokół nich zapanował piękny, pogodny zimowy dzień, a puszysty śnieg otulał wszystko wokół.

– Mój dobry Boże! – zawołał ze zdumieniem Scrooge, składając jednocześnie ręce i rozglądając się wokół siebie. – Przecież w tym miejscu spędziłem dzieciństwo! Tu się wychowałem!

Duch spojrzał na niego z dobrocią. To słodkie spojrzenie, choć trwało zaledwie chwilkę, obudziło w sercu przedsiębiorcy dziwne, zapomniane od tylu lat wzruszenie. W tej jednej sekundzie doznał nagle wrażeń, tak obcych przez te wszystkie lata. Zapomniane uczucia, nadzieje, myśli, pragnienia i marzenia oraz wspomnienia dawnych radości, kłopotów, prac otoczyły go niczym niewidzialny rój.

– Wargi ci drżą – zauważył duch. – Co ci się stało?

– To nic takiego – odpowiedział drżącym ze wzruszenia głosem Scrooge. – Nic się nie stało. Proszę, chodźmy dalej.

– Pamiętasz tę drogę? – kontynuowało widmo.

– Czy ją pamiętam?! – zawołał z zapałem Scrooge. – Mogę iść tędy z zawiązanymi oczami.

– Dziwne zatem, że przez tyle lat o niej nie pomyślałeś – zauważył duch.

Ruszyli dalej. Szli wzdłuż drogi, a Scrooge rozpoznawał każde drzewo, każde drzwi, każdą chatę, płot, rów, pagórek... W pewnym momencie w oddali ukazała się mała wioska, a w niej kościół i mostek przebiegający nad wąską, krętą rzeczką. Nagle w ich kierunku spomiędzy domów na niewielkich kucykach wyjechała grupka chłopców. Wołali radośnie do dzieci jadących w wiejskich dwukółkach i chłopskich furmankach.

Cała ta wesoła i gwarna dzieciarnia wydawała tysiące okrzyków radości, które unosiły się i wirowały wraz z wiatrem w powietrzu.

– To duchy i wspomnienia dawnych lat – rzekło widmo. – Nie zdają sobie sprawy z naszej obecności.

Wesoła gromada zbliżała się szybko. Scrooge bez problemu rozpoznawał każdego z chłopców, pamiętał dokładnie ich imiona.

– Mój Boże! To przecież Jaś, a to Franuś. A tam Piotrek – tak, Piotruś. Boże, co się ze mną dzieje? – mówił sam do siebie niezwykle wzruszony Scrooge. I zupełnie nie rozumiał ogarniających go uczuć. Cieszył się! Tak, cieszył się jak nigdy wcześniej! Jego oczy, dotąd tak ponure i zimne, iskrzyły teraz radosnym blaskiem. Serce biło mu gwałtownie. Scrooge o mało nie zawołał, gdy słyszał, jak chłopcy życzyli sobie wzajemnie „Wesołych świąt”, gdy po kolei każdy z nich opuszczał przyjaciół i zabawę, by wrócić do domu i czekających w nim rodziców, krewnych, przyjaciół. Skąd w Scrooge’u wzięło się to nagłe uczucie radości i wzruszenia? Przecież Boże Narodzenie go w ogóle nie obchodziło? Nie przynosiło mu żadnych zysków?

– Zobacz, szkoła jeszcze nie opustoszała. Pozostało w niej jedno samotne, zapomniane przez wszystkich dziecko.

Scrooge westchnął ciężko na widok tego wspomnienia.

Duch zszedł z głównej drogi i skręcił w boczną, krętą ścieżkę. Scrooge, który doskonale rozpoznawał to miejsce, szedł za nim. Wkrótce zbliżyli się do wielkiego budynku, zbudowanego z ciemnoczerwonych,

nietynkowanych cegieł. Była to szkoła. Nad wejściem wisiał niewielki dzwonek. Budynek był obszerny, ale zaniedbany i jakby zapomniany przez jego właścicieli. Na ścianach wyraźnie odznaczała się wilgoć i pleśń, w oknach sterczały popękane i potłuczone szyby, a drzwi były zniszczone i spróchniałe. Wokół ochoczo biegały rozgdakane kury, wszędzie ich było pełno. W stajniach i szopach rosła wysoka trawa i zielsko. Wnętrze budynku idealnie odpowiadało widokowi z zewnątrz. Kiedy obaj podróżni weszli do ponurego przedsionka, ich oczom ukazał się szereg pootwieranych drzwi, prowadzących do obszernych pomieszczeń. Jednak i tutaj widoczna była bieda i wszechobecne zaniedbanie. W salach znajdowały się nieliczne, skromne, zniszczone sprzęty, a w powietrzu unosiła się zimna, spleśniała woń. Wszystko w tym budynku oddychało niedostatkiem i jasno świadczyło o biedzie jego mieszkańców, ciężko pracujących na kawałek chleba i znających na co dzień uczucie głodu. Duch i Scrooge przeszli przez sieni i zbliżyli się do znajdujących się naprzeciwko drzwi, które same się przed nimi otworzyły. Ich oczom ukazała się długa, pusta i niezwykle smutna sala, wyposażona jedynie w szereg ławek i stołów. W rogu, na jednej z ławek, w pobliżu ledwo tłącego się ognia siedziało samotne dziecko. Chłopiec pogrążony był w czytaniu. Na jego widok Scrooge usiadł na ławce i gorzko zapłakał. Owym samotnym, zapomnianym i opuszczonym dzieckiem był bowiem on sam. Z jego oczu po raz pierwszy od bardzo dawna popłynęły strumienie prawdziwych, szczerych łez. A każdy najdrobniejszy szmer: pisk biegających w kątach myszy, szelest wiatru poruszającego suchymi gałęziami topoli, skrzypnięcia otwieranych i zamykanych drzwi, trzask ognia w kominiku czy krople wody kapiące za oknem z na wpół zamarzniętej rynny – wszystko to potęgowało dawne wspomnienia i odbijało się bolesnym echem we wzruszonym sercu Scrooge'a.





Duch delikatnie dotknął jego ręki i wskazał zajętego czytaniem chłopca. Nagle za oknem ukazała się dziwnie ubrana postać. Mężczyzna miał u pasa zawieszoną siekiere, a za cugle ciągnął, obładowanego drzewem, osła.

– Przecież to Ali Basza! – zawołał przejęty Scrooge. – Mój kochany, dobry, stary Ali Basza! Poznaję go! Kiedyś w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy siedziałem tu sam, przyszedł mnie odwiedzić i pocieszyć. Pamiętam to! Ale się wtedy bawiliśmy i śmialiśmy!

Gdyby klienci Scrooge'a – będący przecież niezwykle poważnymi i szanowanymi kupcami oraz bankierami – zobaczyli go w tej właśnie chwili, byłiby niezwykle zaskoczeni. Jego obecne zachowanie daleko odbiegało od przyjętej przez tyle lat postawy. Scrooge bowiem z wielkim zapałem i energią zaczął rozpamiętywać dawne, błahe przecież, wspomnienia. Śmiał się przy tym i płakał na przemian, a jego twarz jaśniała niezwykle blaskiem. Tak, byłby to dla nich widok zupełnie niezrozumiały.

W pewnym momencie Scrooge zbliżył się do książki, którą czytało dziecko.

– To ta sama książka! – zawołał – Robinson Kruzo. O, jest i papuga! Zielona, z żółtym ogonem. Pamiętam, jak krzyczała „Gdzie byłeś biedny Robinsonie?”, gdy ten samotnie opłynął bezludną wyspę i powrócił do szafasu. Jest też Piętaszek! Ucieka do zatoczki przed ludożercami. Prędeej, prędeej! Biegnij Piętaszku! – wykrzykując te wszystkie słowa, przejęty Scrooge przemierzał się po sali, od jednej ławki, do drugiej. I nagle, pod wpływem ogromnego współczucia dla dawnego siebie, rozplakał się i zawołał przez łzy – Biedne dziecko!

Po chwili, gdy otarł rękawem krople łez z twarzy, odrzekł – chciałbym..., tak bardzo chciałbym... ale już za późno...

– Co chciałeś powiedzieć? – zapytał duch.

– Nic takiego. Przypomniałem sobie dziecko, które wczoraj wieczorem śpiewało pod drzwiami mojego biura kolędę. Chciałbym mu coś podarować. Mój Boże!

Zjawa uśmiechnęła się tajemniczo, a następnie, uciszając go ręką, szepnęła:

– Nadszedł czas, by zobaczyć inną Wigilię Bożego Narodzenia.

Na te słowa sceneria wokół nagle się zmieniła. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki obserwowany chłopiec urósł i stał się młodzieńcem. Zmianie uległo także całe otoczenie. Sala szkolna, która nagle ukazała się ich oczom, była jeszcze bardziej zaniedbana i brudna, ramy okien potrzaskane, a na podłodze leżały spore fragmenty tynku, który odpadł z popękanego sufitu. Scrooge rozejrzał się wokół. I tym razem bez najmniejszego problemu rozpoznał miejsce, do którego zabrała go zjawa. Poczul to dawne, bolesne uczucie ogromnego osamotnienia, gdy znów pozostał sam w tej ponurej szkole, podczas gdy inni chłopcy wyjechali na święta do swoich rodzinnych domów.

Tym razem jednak młodzieniec nie czytał, lecz zrozpaczony przechadzał się po sali tam i z powrotem. Scrooge spojrział na widmo i potrząsnął smutnie głową. Potem zwrócił pełen obawy wzrok w kierunku drzwi, jakby przeczuwał, co za chwilę nastąpi. I rzeczywiście. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i do sali wbiegła dziewczynka znacznie młodsza od przechadzającego się chłopca. Dziewczynka błyskawicznie podbiegła do młodzieńca, podskoczyła i zarzuciła mu ręce na szyję, całując go kilkakrotnie w policzki.

– Mój kochany braciszku! Przyjechałam, żeby zabrać cię do domu – wołała, zanosząc się od śmiechu, dziewczynka. Następnie klasnęła kilkakrotnie w dłonie i powtórzyła – do domu! Do domu! Do domu!

– Fanny! Najdroższa Fanny! Naprawdę wrócę do domu? – szeptał drżącym głosem młodzieniec.

– Tak! Naprawdę! Zabieram cię stąd na zawsze! Ostatnio tata zmienił się ogromnie. Nie jest już taki surowy jak dawniej. W domu jest teraz jak w raj. Pewnego wieczoru, gdy kładł mnie spać, rozmawiał ze mną tak czule, że ośmieliłam się ponownie zapytać, czy nie mógłbyś przyjechać do nas, do domu, choćby na święta. A on się zgodził i wysłał mnie po ciebie, żebym cię przywiozła do domu. Na zawsze! Jesteś już przecież mężczyzną – dodała patrząc mu w oczy. – Nigdy już tu nie wrócisz! Nigdy! A teraz zabierz swoje rzeczy i wracajmy do domu. Spędzimy w tym roku najwesejsze Święta Bożego Narodzenia na świecie!

– Moja droga, moja najukochańsza siostrzyczko! – wołał wzruszony chłopiec, a dziewczynka śmiała się i klaskała w dłonie z ogromnej radości. Potem wspięła się na palce i próbowała pocałować brata w czubek głowy, gdy jednak zorientowała się, że jest na to za mała, podskoczyła i objęła go serdecznie. Wreszcie pociągnęła chłopca w kierunku otwartych drzwi, a on posłusznie poszedł za nią.

Nagle z holu rozległ się surowy głos nauczyciela.

– Przyniescie tu natychmiast kufer z rzeczami pana Scrooge’a! – nauczyciel wszedł do sali i spojrzał na chłopca wzrokiem, w którym groźba mieszała się z uczuciem ukrywanej sympatii. Profesor na znak pożegnania uścisnął młodzieńcowi dłoń, a następnie wyprowadził oboje do drugiego pokoju zwanego salonem, choć był on równie obskurny i przeraźliwie zimny, jak poprzednie pomieszczenie i przypominał raczej ponurą piwnicę niż salon w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Na prośbę nauczyciela służąca podała butelkę bardzo lekkiego wina i kawałek niezwykle zakalcowatego ciasta, którymi to specjałami poczęstowano gości. Profesor rozkazał również służącej, by zaniósła kieliszek wina czekającemu na dzieci w powozie woźnicy. Ten jednak stanowczo odmówił, narzekając przy tym głośno, że jeśli jest to ten sam trunek, którym częstowano go ostatnio, to woli już wypić szklanekę wody, gdyż z pewnością będzie

bardziej orzeźwiająca. Tymczasem z tyłu powozu ulokowano kufer z rzeczami Scrooge’a. Dzieci pożegnały serdecznie nauczyciela i wskoczyły do pojazdu, który pomknął rażno po skrzypiącej, zaśnieżonej drodze. Spod końskich kopyt i kół rozpryskiwały wokoło płatki śniegu i unosiły się lekko w powietrzu niczym morska piana niesiona przez fale. Podczas podróży uszczęśliwiony i zaskoczony nagłym powrotem do domu Scrooge co chwila przyciskał do ust dłoń siostry i powtarzał po raz tysięczny, jak bardzo jest wdzięczny za to, co dla niego zrobiła.

– Twoja siostra była niezwykle delikatną i drobną osobą. Mogłoby się wydawać, że najmniejszy podmuch wiatru uniesie ją w górę lub zegnien jak trzcinę. Jednak miała wielkie, szlachetne serce – rzekł duch.

– To prawda! Była prawdziwym aniołem – przyznał zamyślony Scrooge.

– Wydaje mi się, że umarła jako mężatka i chyba pozostawiła dwójkę dzieci? – zapytało widmo.

– Jedno – odpowiedział Scrooge.

– Prawda, już sobie przypominam. Miała jednego syna. Twojego siostrzeńca.

Zmieszany Scrooge spuścił głowę i odwrócił oczy, a jego policzki pokryły się rumieńcem zawstydenia.

– Tak – wyszeptał niepewnie.

Gdy tylko Scrooge i duch opuścili mury szkolne, znaleźli się na ulicy niezwykle zatłoczonego miasta. Panowało w nim prawdziwe świąteczne ożywienie. Ludzie biegali od sklepu do sklepu, spieszyli się, by przed świętami załatwić wszystkie najważniejsze sprawy. Na ulicach, przyprószonych śniegiem, co i rusz drogę tarasowały sobie przeróżne bryczki i powozy. Każdy chciał zdążyć przed nocą do domu. O wyjątkowości zbliżających się dni świadczył nie tylko niespotykany na co dzień ruch na ulicach, ale również ich wyjątkowy wystrój. Wystawy sklepowe

kusiły bowiem świątecznymi ozdobami i artykułami sprowadzonymi i przygotowanymi specjalnie na Święta Bożego Narodzenia. Za szklanymi szybami piętrzyły się smakowite stopy strucli, pachnących pierników, aromatycznych ciast, soczystych gruszek i jabłek. Martwe ryby patrzyły z witryn beznamytnym wzrokiem na wbiegających do sklepu przechodniów, a w innym miejscu błyszcząły strojne od ozdób choinki. Widok był naprawdę wspaniały! Zbliżał się wieczór. Z wszystkich okien biła przedziwna łuna, jaśniejąca tajemniczo w gęstniejącym mroku. Z kominów unosił się dym przesycony pysznymi kuchennymi zapachami. Widmo przystało u drzwi jednego ze sklepów i spytało Scrooge'a, czy rozpoznaje to miejsce.

– Żartujesz sobie ze mnie? Oczywiście, że poznaję. Przecież w tym sklepie odbywałem pierwsze praktyki.

Weszli do środka. W pomieszczeniu, za ladą sklepową, na niezwykle wysokim krześle siedział równie wysoki mężczyzna w peruce. Przypominał wręcz potężnego jeźdźca na koniu. Scrooge, którego ogarnęło niezwykle wzruszenie, zaczął z ciekawością rozglądać się po wnętrzu sklepu, po czym na widok dawnego pryncypała najpierw pobladł, potem zrobił się czerwony, a na końcu wykrzyknął:

– Przecież to stary, dobry Fezziwig! Jak to możliwe? Fezziwig jak żywy!

– Uspokój się – odrzekł duch.

Fezziwig odłożył pióro i spojrział na zegar. Następnie wyjął z kieszeni drugi zegarek – niewiele mniejszy od tego, który wisiał na ścianie, jakby chciał się upewnić, czy rzeczywiście nadeszła już odpowiednia godzina. Widocznie oba urządzenia były sprawne, gdyż starzec zatarł ręce, poprawił perukę zjeżdżającą mu na tył głowy, obciągnął kamizelkę, która podwinęła mu się prawie pod szyję i roześmiał się gwałtownie, tak jak tylko on potrafił się śmiać. Rzeczywiście, przyznać trzeba, że śmiech staro Fezziwiga był niezwykle oryginalny. Wypełniał go całego, od stóp,

po czubek głowy. Każda, nawet najmniejsza jego część śmiała się osobno, śmiały się buty i trzęsący się brzuch, ręce, nogi, śmiała się nawet peruka. Całe ciało Fezziwiga, cała jego dusza i serce przepełnione były szczerym, dźwięcznym śmiechem. Wreszcie zawołał potężnym, ale nadal pełnym radości, głosem:

– Dicku! Ebenezerze!

Na ten dźwięk Scrooge (a dokładniej jego dawna, młodzieńcza postać) wpadł do pokoju z drugim praktykantem.

– To przecież Dick Wilkins! – zawołał do ducha prawdziwy Scrooge. – Dick był wraz ze mną na stażu w sklepie Fezziwiga. A niech to! Poczciwy, dobry Dick. Bardzo był do mnie przywiązany, przyjaźniliśmy się.

– Koniec pracy na dziś, chłopcy! – zawołał Fezziwig. – Przecież dziś jest wielkie święto. Dicku, Ebenezerze zapomnieliście, że dziś mamy Boże Narodzenie? Szybko, wynieście okiennice i zamknijcie sklep – wołał, rażno zacierając przy tym ręce. – Czemu jeszcze tak stoicie jak słupy?! Szybko, szybko, zamykamy!

Młodzieńcy chwycili ogromne okiennice i z ogromnym pośpiechem wybiegli na ulicę, gdzie błyskawicznie zasłonili nimi okna wystawowe. Następnie, równie sprawnie, założyli zasuwę i zamknęli wszystkie kłódki. Zajęło im to zaledwie kilkanaście sekund i już stanęli z powrotem przed pracodawcą, sapiąc i dysząc, jakby brali udział w prawdziwym wyścigu.

– A teraz, chłopcy – rzekł Fezziwig – posprzątajmy tu niepotrzebne rzeczy i zrobmy więcej miejsca. No już! Raz, dwa! To przenieście do kąta z tamtej strony. Dick, ty niezdarze, tę skrzynię wstaw pod biurko. Ebenezerze, co ty wyprawiasz? Te paki postaw jedna na drugą. Rozumiesz? O, właśnie tak!

Młodzieńcy byli tak podekscytowani, że w jednej chwili nie tylko uprzętnęliby cały sklep, lecz wręcz cały dom mogliby wywrócić do góry nogami, a nawet przenieść gdzieś indziej. Wszystko, co tylko wpadło im

w ręce, zostało skrętnie spakowane i ukryte w kątach, pod stołami, na szafach. Jakby ludzkie oko już nigdy nie miało dojrzeć tych rzeczy. Następnie błyskawicznie zamietli i umyli podłogę, odkurzyli i zapalili lampy, a do kominka wsypali ogromny stos węgla, który minutę później buchnął ogniem i ciepłem na całe pomieszczenie. Sklep zmienił się w wielką, przestronną i jaśniejącą blaskiem lamp salę balową. Wymarzone miejsce na zimowy wieczór i prawdziwy, świąteczny bal.

Chwilę później do trójki mężczyzn zaczęli dołączać kolejni goście. Pierwszy zjawił się skrzypek, niosący pod pachą ogromny plik nut. Zasiadł za ladą na wysokim krześle pryncypała i zaczął stroić skrzypce. Z instrumentu co i rusz wydobywały się przedziwne piski, skrzypnięcia, zgrzyty, aż w głowie świdrowało od tych wszystkich dźwięków. Potem weszła rozpromieniona pani Fezziwig, a tuż za nią jej trzy córki, równie radosne jak matka i jaśniejące przy tym wesołą uprzejmością. Następnie nadeszło sześciu wystrojonych i wypomadowanych młodzieńców, którym panny Fezziwig złamały serce. A potem posypała się już prawdziwa lawina gości: przybyli wszyscy chłopcy i dziewczęta zatrudnieni w tym domu, kucharka z mleczarzem, pokojówka ze swoim kuzynem piekarzem, przyjaciele i znajomi państwa Fezziwig, a nawet młody chłopak, pracujący w sąsiednim sklepie, o którym szeptano, że pracodawca morzy go głodem. Jedni wchodzili śmiało, odważnie zajmując miejsce, inni lękliwie, po cichu, przepychając się niezręcznie i chowając za sobą nawzajem. W końcu przybyli wszyscy zaproszeni. I choć tłum gości zgęstniał, to dla nikogo nie zabrakło miejsca. Następnie przyszła kolej na ukłony, powitania, dygnięcia, zaproszenia do tańca i wszystkie te oficjalne ceremonie, bez których prawdziwy bal nie mógłby się odbyć. Wreszcie zebrani ustawili się w pary i rozpoczęli taniec. A było tych par dwadzieścia albo i więcej – trudno było je wszystkie zliczyć, tak wirowały i kręciły się w każdej części sali. Cóż to był za taniec! Roześmiane pary objęte wpół, jedne bliżej siebie,



inne w pewnym oddaleniu, płynące z jednego końca sali do drugiego, wirujące na środku lub nieśmiało obracające się pod ścianą. Jakby wszyscy na chwilę zapomnieli o całym otaczającym ich świecie, a taniec unosił ich coraz szybciej i dalej. A między nimi krążyli gospodarze, którzy ani na chwilę nie usiedli, tylko zabawiali swych gości. Kłaniali się im, zagadywali, głaskali i całowali dzieci. Stary Fezziwig wyganiał z kątów nieśmiałych i zachęcał do wspólnej zabawy, wołając rażno: „Tańczcie, bawcie się, jak we własnym domu! Brawo! Doskonale!”

Spocony i zziajany skrzypek przerwał na moment grę, by zaczerpnąć łyk piwa z ogromnego dzbana, przygotowanego specjalnie dla niego. Pił długo, najpierw łapczywie, pragnąc zaspokoić pragnienie, potem już delectował się smakiem wybornego trunku. Gdy skończył, wyprostował się gwałtownie i chwycił ponownie instrument, by kontynuować grę. Obserwując go, miało się wręcz wrażenie, jakby nagle tamtego zmęczonego grą i spoconego skrzypka zastąpił zupełnie nowy, wypoczęty i świeży muzyk. I tak gościom upływał czas na niekończących się tańcach, przerywanych jedynie na chwilę grą w fanty. W końcu gospodarze dali znak, by skrzypek zrobił sobie dłuższą przerwę. Zaproszono wszystkich do stołu, a oczom gości ukazała się prawdziwa uczta. Na stołach piętrzyły się bowiem pachnące egzotycznymi przyprawami ciasta, ogromne kawałki pieczeni, wyborne salcesony, aromatyczne paszety. Między nimi zaś stały ogromne dzbany z piwem. Jednak dopiero po zakończonym posiłku nastął punkt kulminacyjny wieczoru, kiedy to skrzypek zaczął grać Drabanta. Na dźwięk tej melodii pan Fezziwig podał rękę swojej małżonce i ruszył do tańca w pierwszej parze. Niemal natychmiast goście zerwali się z miejsc i utworzyli korowód, który ruszył do tańca za gospodarzami. Piękny to był widok! Sędziwi gospodarze z dumą i gracją prowadzili dwadzieścia kolejnych par, a pan Fezziwig, mimo wieku, podskakiwał, podrygiwał i wydawał kolejne po-

lecenia tańczącym. Jego żywiołowy i pełen energii taniec z pewnością mógłby zawstydzić niejednego młodzieńca. Trudno wręcz opisać figury, gesty, pląsy, jakie potrafił wykonać, a jego żona w niczym nie była od niego gorsza.

Kolejne uderzenia zegara uprzytomniły gościom, że wybiła jedenasta i nadszedł koniec tej uroczej zabawy. Pan i pani Fezziwig stanęli przy drzwiach wyjściowych, by pożegnać gości. Każdemu z wychodzących życzyli wesołych świąt i serdecznie ściskali im ręce. Gdy w domu pozostali wyłącznie domownicy, gospodarze jeszcze raz złożyli im życzenia, po czym pożegnali się. Zrobiło się cicho. Praktykanci również udali się do swojego pokoju na zasłużony odpoczynek.

Przez cały ten czas prawdziwy, stary Scrooge kręcił się i wiercił. Zupełnie nie potrafił usiedzieć w miejscu. Jakby jego dusza i serce, a także całe ciało brały udział w obserwowanej zabawie. Doskonale pamiętał tamten wieczór, dlatego jego wspomnienie obudziło w nim najprzyjemniejsze, głęboko ukryte przez lata, uczucia – radości, beztroski, szczęścia. Przeżywał zatem każdy gest, każdą napotkaną osobę, każdą znajomą rzecz. Dopiero kiedy znikły rozpromienione postacie praktykantów, przypomniał sobie o obecności ducha, który patrzył na niego w niezwykłym skupieniu. Scrooge zauważył, że promień światła, wydobywający się z głowy widma, świeci jeszcze żywszym niż poprzednio blaskiem.

– Jak niewiele trzeba – powiedział duch – aby zyskać wdzięczność tych prostaków.

– Niewiele? – powtórzył Scrooge.

Duch szybko uciszył go gestem dłoni i kazał mu posłuchać rozmowy praktykantów, którzy wychwalali pod niebiosa swojego pracodawcę. Po chwili zjawa spytała:

– I cóż on takiego wielkiego zrobił? Wydał zaledwie parę funtów tych waszych ziemskich pieniędzy. Czy za to należą mu się aż takie pochwały?

– Co ty mówisz?! – wykrzyknął w uniesieniu Scrooge, jakby nie był starym, zręczliwym przedsiębiorcą, a dawnym, pełnym radości i nadziei młodzieńcem. – Przecież nie chodzi o to, ile Fezziwig wydał, ale jakim był człowiekiem. Jak nas traktował. Fezziwig mógł nas uczynić szczęśliwymi lub nieszczęśliwymi. Mógł sprawić, żeby nasza praca była przyjemna lub wręcz przeciwnie – zupełnie nieznośna. Tak samo z naszym życiem. Mógł nam je bardzo uprzykrzyć. Nie uczynił tego jednak, a wręcz przeciwnie. Każdy jego gest, spojrzenie, słowo, czyn, każda najmniejsza nawet, na pozór nic nie znacząca drobnostka, wszystko to przepełnione było szczęściem, radością i dobrocią, którymi się z nami dzielił. Nawet taki drobny gest, jak ten bal. Błahostka, a jednak sprawiła nam wiele przyjemności. Zrozum, to było o wiele cenniejsze niż niejedna fortuna.

Mówiąc te słowa, Scrooge podniósł głowę i ujrzał przenikliwy wzrok widma. Zamilkł zawstydzony.

– O co chodzi? – zapytała zjawa.

– To nic takiego – odrzekł Scrooge.

– Wydaje mi się, że jednak jesteś jakiś zmieszany. Powiedz, proszę, co się stało? – dopytywał duch.

– Nic... Naprawdę nic... Tylko widzisz... – jąkał się Scrooge, jakby sam przed sobą musiał wyjawić ten sekret. – Po prostu chciałbym teraz coś powiedzieć panu Fezziwigowi. To wszystko.

W tym samym momencie widmo dawnego Scrooge'a zgasiło ostatnią lampę w sklepie, a prawdziwy Scrooge wraz z duchem znaleźli się nagle na dworze. Powietrze na zewnątrz było wyjątkowo świeże i chłodne.

– Mój czas się kończy – rzekł duch. – Chodźmy dalej.

I choć słowa wypowiedziane przez zjawę nie były skierowane bezpośrednio do Scrooge'a, to przyniosły natychmiastowy skutek. I tym razem sceneria wokół nich gwałtownie się rozmyła, a już w następnej sekundzie obraz się wyostrzył i Scrooge mógł obserwować kolejną scenę.

Był już wówczas mężczyzną w sile wieku. Jego twarz nie miała jeszcze owych ostrych i surowych rysów skąpca, które teraz cechowały jego oblicze, jednak malował się już na niej niepokój i chciwość. Wzrok dawnego Scrooge'a gorączkowo omiatał wszystko wokół, nie mógł się zatrzymać na jednym punkcie, jakby toczyła się w nim jeszcze wewnętrzna walka między tym, co dobre, a tym co złe. Jednak chciwość i żądza zysku były już tak wyraźne w jego oczach, że nie można było się pomylić, jaką drogę wybrał.

Przed mężczyzną stała piękna, młoda dziewczyna z ogromnym wyrazem smutku i bólu na twarzy. W świetle tryskającym jasną barwą z głowy ducha wyraźnie było widać, jak na twarzy kobiety błyszczą łzy.

– Moje miejsce w twoim sercu zajął już ktoś inny – mówiła przejęta dziewczyna.

– Kogo masz na myśli? – zapytał niecierpliwie dawny Scrooge.

– Złotego cielca.

– To jest dopiero prawdziwa ludzka sprawiedliwość! Z jednej strony świat gardzi ubóstwem, jednak gdy ktoś rozsądny dąży do tego, by wyjść z biedy i ciężką pracą chce zdobyć majątek, jest od razu surowo potępiony!

– Rozumiem twoją obawę przed ubóstwem. Jednak ciebie ogarnęła prawdziwa chciwość i żądza zysku. Widziałam, jak przez cały ten czas wszystkie najszlachetniejsze uczucia, które jeszcze nie tak dawno miałeś w sercu, gasły, jedno po drugim. Została wyłącznie nieokiełznana chęć zysku. Chyba nie zaprzeczysz?

– Przesadzasz. Po prostu zmańdrałem. I tyle. Moje uczucia do ciebie się nie zmieniły.

Dziewczyna potrząsnęła gwałtownie głową na znak zwątpienia.

– Nie, Ebenezerze. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Życzę ci z całego serca, żeby droga, którą wybrałaś, przyniosła ci szczęście i spokój. Ja zwalniam cię z danego słowa. Niczego już od ciebie nie oczekuję.

Mężczyzna przez chwilę próbował się tłumaczyć i usprawiedliwić swoje postępowanie. Jego starania były jednak tak nieporadne i nieszczerze, że czuć było wewnętrzną ulgę, a nawet pewną radość, jaką sprawiło mu to zerwanie. Dziewczyna odeszła.

– Duchu – jęknął Scrooge – proszę, nie pokazuj mi już nic więcej. Chcę wrócić do domu. Przestań mnie dręczyć tymi wszystkimi wspomnieniami!

– Został nam jeszcze jeden obraz z przeszłości – odpowiedział niewzruszony błaganiami Scrooge’a duch.

– Proszę, nie! – wykrzyczał Scrooge – Nie chcę już nic więcej widzieć!

Lecz widmo ścisnęło go tylko za rękę i nakazało patrzeć na kolejną scenę, która wyłoniła się przed ich oczami. Tym razem Scrooge i duch znaleźli się w wygodnie urządzonej sypialni. Pomieszczenie nie było ani zbyt wielkie, ani zbyt ciasne, ani zbyt wytworne, robiło jednak bardzo przytulne wrażenie. Przy kominku, z którego buchały jasne, wesołe płomienie, siedziała młoda, piękna dziewczyna. Była tak bardzo podobna do kobiety, którą obserwowali w poprzednim wspomnieniu, że Scrooge był niemalże pewien, że to właśnie ona. Dopiero po chwili, gdy przyjrzał się dokładnie, zauważył drugą postać siedzącą w fotelu naprzeciwko młodej dziewczyny. Scrooge rozpoznał w niej swą dawną narzeczoną. Kobieta była zdecydowanie starsza, lecz nadal promieniała z niej niebywały urok. Młoda dziewczyna przy kominku okazała się jej córką. W sypialni panował potworny harmider, gdyż pomieszczenie pełne było rozbrykanych, rozkrzyczanych dzieci. Scrooge próbował zliczyć całą tę hałaśliwą gromadkę, jednak gdy doliczył do czterdziestu, dał sobie spokój, tak plątały mu się przed oczami roześmiane, biegające wkoło maluchy. Miał wrażenie, że jest ich nieskończenie więcej, a na pewno każde z nich hałasowało za czterdzieścioro kolejnych.



Panująca w pokoju wrzawa nie przeszkadzała jednak kobietom, wręcz przeciwnie, obie świetnie się bawiły i co chwila wybuchały perlistym, szczerym śmiechem, płynącym prosto z serca. W pewnym momencie roześmiana dziewczyna zeskoczyła z fotela i wmieszała w tłum bawiących się maluchów, które natychmiast się na nią rzuciły. Zaczęły się szalone tańce, wygłupy, podskoki i psoty. Kobieta śmiała się i próbowała opędzić od małych rozbójników, a jej matka klaskała w dłonie niezwykle rozbawiona.

Zabawę przerwało intensywne pukanie do drzwi, które tylko spotęgowało panujący wewnątrz hałas. Cała gromadka rzuciła się natychmiast do wejścia, ciągnąc za sobą rozbawioną dziewczynę. Do pokoju wszedł ojciec obładowany po samą górę paczkami i świątecznymi upominkami. Aż trudno sobie wyobrazić zamieszanie, jakie powstało na widok przybysza. Dzieci rzuciły się na niego z szalonym okrzykiem radości. Jedne próbowały wspinać się po krzesłach, by dosięgnąć najwyższych znajdujących się paczek, inne przetrząsały kieszenie jego surduta i wyciągały drobniejsze prezenty poowijane w ozdobną bibułę, jeszcze inne usiłowały objąć go za szyję lub wyciągać upominki, które trzymał w dłoniach. Wreszcie mali rozbójnicy zdobyli wszystkie prezenty i rozpoczęło się uroczyste otwieranie każdej paczki. Aż trudno wyrazić słowami, jak ogromna i szczerza była ta dziecięca radość, jak wielka wdzięczność malowała się na ich buziach, gdy otwierały kolejne upominki. Okrzykom zachwytu i wesołym piskom nie było końca. Jednego z malców przyłapano, jak próbował schować do ust niewielką, blaszaną patelnię dla lalek. W ostatniej chwili matka zdołała wyciągnąć przedmiot z buzi dziecka. Od razu padło też podejrzenie, że to właśnie on połknął sztucznego indyka z drewnianym półmiskiem, które gdzieś zaginęły w tym całym zamieszaniu. Wreszcie nadeszła pora snu. Rozbawione i uszczęśliwione maluchy, ściskające w swych malutkich rączkach nowe zabawki, opuszczały stopniowo salon i udawały się do swoich sypialni, by pójść spać. W drodze do swoich pokoików gorącz-

kowo planowały jeszcze zabawy na kolejny dzień. W salonie wreszcie zapanował spokój i cisza. Mężczyzna przytulił serdecznie najstarszą córkę, a następnie podszedł do żony i czule pogłaskał ją po głowie, po czym usiadł w fotelu.

– Mario, wyobraź sobie, że widziałem dziś twojego dawnego znajomego – zwrócił się do kobiety.

– Kogo dokładnie masz na myśli?

– Zgadnij!

– Nie mam pojęcia, ale poczekaj, pomyślę chwilę... - odpowiedziała kobieta. – Zaraz... zaraz... Czy nie masz na myśli pana Scrooge'a?

– Dokładnie tak. Właśnie jego widziałem. Przechodziłem koło jego biura, a ponieważ okna nie były jeszcze zasłonięte okiennicami, a wewnątrz paliła się lampa, to mimowolnie zerknąłem do środka. Słyszałem, że jego wspólnik Marley jest umierający. Pewnie dlatego Scrooge siedział w pracy zupełnie sam. Mam wrażenie, że on nie ma żadnych przyjaciół ani krewnych. Musi być ogromnie samotny.

– Duchu – wyszeptał słabym głosem Scrooge i załamał ręce z rozpaczy. – Proszę cię, zabierz mnie stąd!

– Powiedziałem ci przecież, że moim zadaniem jest pokazać tobie widma twojej przeszłości. Nie obwiniaj mnie za własną przeszłość i własne decyzje.

– Zaprowadź mnie do domu! – zawołał Scrooge. – Nie zniosę już więcej wspomnień!

Scrooge spojrział na ducha i z przerażeniem zobaczył nagle, że jego twarz posiada rysy wszystkich napotkanych podczas tej wędrówki osób. Rzucił się więc na zjawę pod nagłym przypływem rozpaczy, gniewu, strachu, tęsknoty i żalu - wszystkich tych uczuć, które niczym splątane węże kłębiły się boleśnie w jego duszy i umyśle, a które przez tyle lat leżały głęboko uśpione.



– Daj mi spokój! Wypuść mnie i zaprowadź do domu! Przestań mnie dręczyć! – wołał rozpaczliwie Scrooge, usiłując wyrwać się z objęcia zjawy.

Podczas tej walki – o ile w ogóle można to było nazwać walką, gdyż widmo stało niewzruszone mimo kolejnych ataków przeciwnika – Scrooge zauważył, że światło tryskające z głowy widma połyskiwało coraz jaśniejszym, wręcz oślepiającym blaskiem. W ostatnim przypływie rozpacz Scrooge chwycił gasidło i wcisnął je niespodziewanie zjawie na głowę, zakrywając tym samym jasny promień. I choć duch zniknął cały pod tym dziwnym kapeluszem, a Scrooge przyciskał go ze wszystkich sił do podłogi, nie mógł zupełnie zgasić światła, które wydobywało się na dole i oświetlało przerażającą poświatą całą podłogę. W tym momencie Scrooge poczuł ogromne zmęczenie. Ogarnęła go potworna, niepochwytana senność. Nagle, ku wielkiemu zdziwieniu, spostrzegł, że ponownie znajduje się w swojej sypialni. Z najwyższym wysiłkiem docisnął ostatni raz gasidło do podłogi, po czym dowłókł się do łóżka i padł potwornie zmęczony, pograżając się w głębokim, ciężkim śnie.

## IV. Drugi z trzech duchów

Scrooge ponownie się obudził i gwałtownie usiadł na łóżku, aby zebrać myśli. Echo przedziwnych wydarzeń, których był świadkiem poprzednich nocy, jeszcze odbijało się w jego głowie. Nie musiał patrzeć na zegarek, doskonale bowiem przeczuwał, że lada moment kościelne dzwony wybiją pierwszą w nocy, a jego oczom ukaże się drugi z zapowiedzianych przez Marleya wysłanników. Scrooge postanowił, że tym razem uprzedzi przerażającą wizytę i spróbuje zapanować nad ogarniającym go strachem. Zebrał zatem w sobie całą odwagę, a dokładniej jej skromne, poturbowane resztki, wyskoczył dziarsko z łóżka i podbiegł do okna, by odsłonić firanki, które poprzednio zapowiedziały niechciane odwiedziny zjawy. Następnie powrócił do łóżka i padł na poduszki. Choć w pokoju panowała ciemność, Scrooge omiótł pomieszczenie wzrokiem i próbował przygotować się na pojawienie się widma, choćby było naprawdę dziwne i przerażające. Tym razem nie chciał okazać ani strachu, ani zdziwienia, ani wzruszenia.

I choć wydawało mu się, że przygotował się na każdą okoliczność i nic już go nie zaskoczy, nie przewidział jednej rzeczy. A mianowicie... że nie wydarzy się nic! Zupełnie nic! Dlatego gdy zegar z kościelnej wieży wybił pierwszą, a w pokoju nikt się nie pojawił i nadal panowała w nim niezmacona cisza i otulająca wszystko ciemność, Scrooge'a przeszył gwałtowny dreszcz. Nie tego oczekiwał. „I co ja mam teraz zrobić?” – myślał przerażony. Na co zdała się cała odwaga i wszystkie przygotowania? Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans – nadal nic!

Gdy tak leżał w swym łóżku sztywny ze strachu, nagle spostrzegł, że właśnie na nim zbiegają się tajemnicze, rozstrzelone promyki czerwonego światła, które ukazały się wraz z ostatnim uderzeniem zegara.

Dziwna poświata przeraziła go bardziej, niż gdyby ujrzał teraz przed sobą z tuzin przeróżnych widm. Lęk ten potęgował fakt, że Scrooge nie miał pojęcia, skąd owe światło pochodzi i co oznacza. Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem to on sam się nie pali i nie kęsa go czerwone, tajemnicze płomienie. W końcu wpadł na pomysł – zapewne wy odgadlibyście to od razu, jednak Scrooge, który był w samym centrum wydarzeń, potrzebował na to trochę czasu, dlatego musimy mu wybaczyć tę jego niemrawość myślenia – wpadł zatem na pomysł, że źródło światła musi znajdować się w sąsiednim pokoju. Stamtąd bowiem płynęły do niego wszystkie błyszczące promienie. Myśl ta uspokoiła go znacznie. Scrooge podniósł się z posłania, wsunął na stopy pantofle i cichutko, na samych palcach, udał się do sąsiedniego pokoju.

W chwili, gdy chwycił klamkę, usłyszał nagle tajemniczy głos, który wypowiedział jego imię i rozkazał mu wejść do środka. Przedsiębiorca posłusznie wykonał polecenie i otworzył szerzej drzwi. Rozejrzał się niepewnie po pokoju. Nie było najmniejszej wątpliwości, że znajdował się w swoim salonie. A jednak! Pokój ten uległ nadzwyczajnej przemianie. Ściany i sufit przyozdabiały ogromne wieńce utworzone z zielonych gałęzi i liści. Zupełnie jakby nie był to pokój Scrooge'a, ale prawdziwy, piękny i tryskający soczystą zielenią zagajnik, upstrzony liśćmi bluszczu, ostrokrzewu, jemioly. W kominku palił się wspaniały, ogromny wręcz ogień, buchający co chwilę wesołymi jęzorami. Miało się wręcz wrażenie, że stare palenisko trzeszczy z podziwu i zachwytu, za czasów Marleya i Scrooge'a nie doświadczyło bowiem tak potężnych płomieni. Na samym środku salonu piętrzył się natomiast olbrzymi stos wszelkiego rodzaju wykwintnych dań: pieczone indyki, gęsi, kurczęta, prosięta, aromatyczna dziczyzna, długie pęta kiełbasy, pyszne salcesony, wytrawne pasztety, pachnące puddingi, babeczki, a także przeróżne ryby, pieczone kasztany, orzechy, złociste jabłka, soczyste gruszki, ogromne torty mi-

gdalowe czy dymiące rozkoszną wonią wazy pełne ponczu. Prawdziwa uczta! Wszystkie te niezliczone przysmaki tworzyły górę przypominającą wspaniały, ogromny tron. Na samym szczycie tej przedziwnej konstrukcji siedział roześmiany olbrzym. W dłoni trzymał zapaloną pochodnię, która swym kształtem przypominała róg obfitości. Na widok Scrooge'a zagląającego nieśmiało przez szparę w drzwiach, olbrzym podniósł pochodnię nad głowę, by jeszcze bardziej oświetlić salon i zachęcić lokatora do wejścia.

– Wejdz – zawołało widmo. – Proszę, wejdz! Nie bój się, mój przyjacielu.

Scrooge nieśmiało wszedł do pokoju, stąpając przy tym nadal na samych palcach. Następnie uklonił się nisko zjawie. I choć wzrok olbrzyma był pełen dobroci, Scrooge z pokorą spuścił oczy. W zachowaniu tym widać było, jak bardzo zmieniły go dwie poprzednie wizyty. Scrooge nie był już bowiem dawnym szorstkim i gburowatym sknerą.

– Jestem duchem obecnej Wigilii Bożego Narodzenia! Spójrz na mnie! – powiedziała zjawa.

Scrooge nieśmiało lecz z szacunkiem spojrzął na gościa, który był zupełnie niepodobny do poprzedniej zjawy. Ramiona olbrzyma przykrywał obszerny, ciemnozielony płaszcz, którego brzegi obszyte były białym futrem. Strój ten wisiał luźno, jakby został niedbale i w pośpiechu zarzucony, a pod nim widać było potężny, nagi tors. Stopy widma, wylaniające się spod lejących się fałd płaszcza, również były nagie. Na głowie tajemniczej postaci znajdował się wieniec upleciony z gałęzi świerku, poprutykany błyszczącymi, lodowymi sopłami. Długie i gęste pierścienie włosów spadały mu na ramiona. Twarz widma, jego oczy, ale również cała właściwie postać emanowały spokojem, szczerością oraz radością. I choć do pasa zjawy przymocowany był starożytny miecz, rdza, która go pokrywała, wyraźnie świadczyła, że nie był on nigdy używany.

– Chyba nigdy nie widziałeś kogoś takiego jak ja? – zapytał wesoło duch.

– Nigdy – odrzekł Scrooge.

– I nigdy nie spotkałeś żadnego z moich starszych braci?

– Nie przypominam sobie – odpowiedział Scrooge. – Wydaje mi się, że nie. A wielu masz braci?

– Tysiąc ośmiuset sześćdziesięciu – odpowiedziało widmo. – Ale co roku pojawia się nowy członek naszej rodziny.

– Liczna rodzina. Jej utrzymanie musi być bardzo kosztowne – mruknął pod nosem, jakby sam do siebie, Scrooge.

Widmo wstało.

– Duchu – rzekł z pokorą w głosie Scrooge. – Zaprowadź mnie, gdzie chcesz. Zeszłej nocy twój poprzednik zabrał mnie na wycieczkę pod przymusem, jednak nie żałuję tego, co mi pokazał. Wiele się wczoraj nauczyłem i wiele zrozumiałem. Jeśli ty również chcesz mnie czegoś nauczyć, chętnie skorzystam z twych rad.

– Dotknij mego płaszcza! – rozkazało widmo.

Scrooge chwycił mocno kawałek szaty ducha. Czerwone światło, wieńce i gałęzie zwisające ze ścian, indyki, gęsi, prosięta, szynki, paszety, ostrygi, puddingi, poncz, owoce – wszystko to natychmiast zniknęło. Zniknęła też cała pokój oraz ciemna, nieprzenikniona noc. Gdy Scrooge otworzył oczy zobaczył, że znajdują się na ulicy miasta w wigilijny poranek. Poranną ciszę przerywało skrzypienie śniegu i zgrzyty łopat, którymi stróże zeszkrobywali zmarznięte białe grudy z chodników i dachów.

Na tle tej białej, jednostajnej i jaśniejszej blaskiem śnieżnej powłoki, która pokrywała dachy, chodniki i ulice, fasady domów i okna wydawały się bardzo ciemne. Jedynie na ulicach biel śniegu poprzecinana była ciemniejszymi bruzdami pozostawionymi przez koła ciężkich wozów. Ślady te tworzyły fantazyjne, poprzecinane wzory, kłębiące się w gęstą



sieć na zakrętach i skrzyżowaniach ulic. Nad miastem wisiało posępne, ciemnoszare niebo, które spowijało je ciężką, przesyconą dymem mgłą. Jednak ani ciężkie, utrudniające oddychanie powietrze, ani brak słońca nie wpłynęły na humor okolicznych mieszkańców. Wręcz przeciwnie! Na wszystkich twarzach malowała się szczerą radość, a oczy ludzi świeciły wesołym blaskiem. Wątpię, czy najpiękniejszy letni dzień mógłby wywołać tyle radości, co ten szary, zimowy poranek. Tak mogła działać tylko magia Bożego Narodzenia.

Ludzie pracujący przy odśnieżaniu chodników i dachów byli w cudownym humorze. Co chwilę słychać było ich wesołe okrzyki i wybuchające salwy śmiechu, gdy jeden drugiego trafił niespodziewanie śnieżną kulką. Jeden ze śnieżnych pocisków wyładował nawet na czapce przechodzącego obok policjanta, co tylko spotęgowało ogólną wesołość.

Ponieważ było jeszcze dość wcześnie, sklepy dopiero otwierano, a ich pracownicy skrzętnie układali na wystawach kuszące towary. W jednym ustawiono ogromne kosze kasztanów, soczystych gruszek, pachnących słońcem jabłek, pomarańcz, cytryn, kuszących fioletową skórką śliwek, na których piętrzyły się piramidy winogron. Drugi kusił przechodniów aromatycznym zapachem świeżo zmielonej kawy. Naprzeciwko, w cukierni, układano prawdziwe dzieła sztuki – niebiańskie, pyszniące się dumnie swym bogatym przyodziewkiem torty, pachnące egzotycznymi przyprawami babeczki i ciasta obsypane migdałami i skrzącymi się kryształkami cukru. W jeszcze innym sklepie wzrok przyciągali miniaturowi żołnierze, dumnie wypinający piersi ozdobione mundurami, konie na biegunach zachęcały do chwili odpoczynku i zabawy. Piętrzyły się stosy mieczy, pałaszy, nawet armat, a wśród nich grzecznie siedziały porcelanowe laleczki, patrzące na świat swymi szklanymi oczami. Ślicznie przybrane choinki sięgały swymi wierzchołkami okien pierwszego piętra. Gdziekolwiek nie spojrzeć, istne cuda! Wszędzie było widać i czuć magię świąt.

Nagle dzwony z kościołów i kaplic w całym mieście rozdzwoniły się dumnie, wzywając wiernych na poranną modlitwę. Ze wszystkich domów zaczęły wychodzić gromadki ludzi ubranych w świąteczne stroje. Wierni poważnym krokiem, lecz z radością i spokojem w oczach, kierowali się do świątyń. Jeszcze inni wybiegali prędko z mieszkań i wąskich uliczek, by zdążyć do pracy lub pozałatwić najpilniejsze sprawy. Kucharki, służące czy ubogie gospodynie, które nie dysponowały własną obszerną kuchnią, truchtem spieszyły do piekarni z koszami, misami i garnkami potraw gotowych do upieczenia. „Mój Boże! Przecież jeszcze tyle trzeba zrobić!” – myślała niejedna z kobiet dźwigających swoje skromne dania. Duch wyraźnie zainteresował się tą przedziwną kawalkadą ubogich biesiadników. Stał w drzwiach jednej z piekarni i zaczął zdejmować z garnków i koszy, niesionych przez wchodzących do środka ludzi, pokrywki i przeróżne ściereczki. Następnie zaczął skrapiać potrawy swoją ogromną pochodnią niczym prawdziwym kropidłem, jednocześnie rozkoszując się zapachami wydobywającymi się z odkrytych naczyń. A trzeba przyznać, że pochodnia, którą widmo trzymało w dłoni, było niezwykle tajemnicze. W pewnym bowiem momencie w piekarni doszło do małego zamieszania i kłótni. Dwie osoby z ciężkimi koszami potrafiły się niechcący i zaczęły się sprzeczać między sobą. Duch natychmiast podbiegł do nich i skropił ich głowy kilkoma kroplami rosy z pochodni. Ku ogromnemu zdziwieniu Scrooge'a obaj kłócący się natychmiast się uspokoili i podali sobie dłonie na zgodę, przepraszając pozostałych za spowodowane w tak uroczystym dniu zamieszanie.

W końcu dzwony umilkły i zamknięto piekarnie, a jedyną pamiątką ciężkiej pracy i zamieszania, które miały miejsce w ich wnętrzach, był dym unoszący się z kominów, kuszący przechodniów wonią dopiekających się potraw.

– Powiedz mi, proszę – Scrooge zwrócił się do ducha – w czym tkwi sekret tajemniczych kropli z twojej pochodni, którymi kropiłeś ludzi i ich potrawy?

– Krople te niosą spokój, zgodę i zadowolenie. Jestem duchem tych świąt, a to jest moje błogosławieństwo!

– I udzielasz go wszystkim ludziom?

– Wszystkim, ale najbardziej błogosławię ubogich.

– Dlaczego? – zapytał Scrooge.

– Gdyż to właśnie oni potrzebują mojego błogosławieństwa najbardziej – odpowiedział duch i ruszył przed siebie, a Scrooge, uczepiony jego płaszcza, posłusznie podążył za nim. Wkrótce obaj dotarli na przedmieścia.

Scrooge zauważył kolejną, osobliwą rzecz. Otóż duch posiadał taką umiejętność, że pomimo swojej ogromnej postury, mógł pomieścić się dosłownie wszędzie, nie tylko w wielkim pałacu, ale także pod ubogą, niską strzechą. W każdym, najmniejszym nawet, kąciku zachowywał swą wyniosłą i godną postawę nieziemskiego przybysza.

Nie wiadomo, czy właśnie ta niecodzienna umiejętność dopasowywania się do niewielkich pomieszczeń czy wrodzone współczucie i skłonność widma do niesienia dobrego słowa i pomocy tym najbiedniejszym sprawiły, że duch zaprowadził Scrooge'a prosto do skromnego domu jego kancelisty. Przed wejściem skropił drzwi rosą ze swojej pochodni, uśmiechnął się i pobłogosławił Boba Cratchita oraz jego rodzinę. Bob Cratchit – tak właśnie nazywał się pracownik Scrooge'a. Obaj niewidzialni goście weszli do środka mieszkania.

Pani Cratchit, żona Boba, ubrana w odświętną, choć niezwykle skromną i już dwukrotnie przerabianą suknię, ozdobioną tanimi wstążkami, nakrywała do stołu. Pomagała jej córka – panna Belinda Cratchit – ubrana, podobnie jak matka, w szeleszczącą kolorowymi wstążkami su-

kienkę. Przy kuchni krzątał się najstarszy syn kancelisty – Piotr Crachit, który sprawdzał widelcem, czy ziemniaki są już dostatecznie miękkie. Drugą ręką poprawiał natomiast ogromne końce kołnierzyka od koszuli, którą specjalnie na dzisiejszą uroczystość pożyczył mu ojciec. Czynił to z nieskrywaną powagą i dumą, gdyż od dawna marzył, by w takim stroju pokazać się w jednym z modnych miejskich parków. Wtem do pokoju wpadła dwójka młodszych dzieci Cratchitów – chłopiec i dziewczynka, którzy, krzycząc radośnie, poinformowali domowników, że poczuli pod piekarnią przepyszny zapach gęsi, którą mama rano zanosła do upieczenia. Maluchy wprost nie mogły się doczekać pysznej wigilijnej kolacji, a zwłaszcza wybornych jabłek, zapieczonych wraz z gęsią. Skakały zatem radośnie wokół stołu i wychwalały kucharski talent najstarszego brata, który z jeszcze większą dumą i zacięciem zaczął dmuchać w ogień, aż w garnku rozległ się wyczekiwany stukot gotującej się wody i ugotowane ziemniaki można było wreszcie odstawić na bok.

– Ciekawe, gdzie podziewa się wasz ojciec z Timem? – odezwała się lekko poirytowanym głosem pani Cratchit. – I Marta? Czemu wszyscy się dziś spóźniają? W zeszłym roku Marta spóźniła się na Wigilię aż pół godziny!

– Już jestem, mamó! – zawołała młoda panienka, która właśnie weszła do pokoju.

– Mamó, Marta już jest! – powtórzyli chórem malcy, po czym podbiegli rozradowani do siostry i zaczęli się przekrzykiwać – Żebyś widziała, jaką pyszną gęś przygotowała mama! Pachnie cudnie! Huraaa!

– Bój się Boga, czemu tak późno przyszedłeś? Czy coś się stało? – pytała troskliwie pani Cratchit, jednocześnie pomagając córce zdjąć kapelusz i płaszcz oraz całując jej czerwone od mrozu policzki.

– Mieliliśmy dziś prawdziwe urwanie głowy w pracy, mamó. Wiesz, jak to jest przed świętami, każdy chce mieć nową suknię, garnitur.

– Dobrze, że już jesteś, kochanie. Siadaj przy kominku i rozgrzej się.

– Tata idzie – wykrzyknęły ponownie najmłodsze dzieci, których wszędzie było dziś pełno. – Marto, schowaj się! Zrobimy tacie psikus!

Siostra posłusznie schowała się za fotelem, a już po chwili do pokoju wszedł Bob Cratchit otulony – a właściwie omotany – swoim długim wełnianym szalikiem, który zwisał mu aż do kolan. Miał na sobie swoje codzienne, wytarte i mocno zniszczone ubranie, które specjalnie na tę okazję porządnie wyczyścił. Na rękach niósł Tima. Biedny chłopiec chodził o kulach, a na nogach miał założone żelazne pręty i obręcze.

– A gdzie jest Marta? – spytał pan Cratchit, rozglądając się po pokoju.

– Jeszcze jej nie ma – odpowiedziała pani Cratchit.

– Jak to? Jeszcze nie przysłała? – zawołał ojciec, a jego dobry humor prysnął nagle. – Nie będzie jej na Wigilii?

Marta nie chciała już dłużej smucić ojca, wybiegła więc ze swojej kryjówki i rzuciła się mu na szyję, a dwójka małych Cratchitów zaniósła Tima do kuchni, aby mógł z bliska posłuchać pięknego śpiewu gotującego się puddingu, który wydobywał się z garnka.

– Czy Tim był grzeczny w kościele? – zapytała pani Cratchit.

– To prawdziwy anioł! – odpowiedział pan Cratchit, gdy już wyscisnął córkę i przywitał się z żoną. – Jest niezwykle roztropny. Tak jakby to jego kalectwo, które pozbawiło go przecież rozrywek i zabaw właściwych dla dzieci w jego wieku, sprawiło jednocześnie, że szybciej dojrzał, że widzi i rozumie więcej niż jego rówieśnicy. A jakie myśli przychodzą mu do głowy. Wyobraź sobie, że dziś, gdy wracaliśmy z kościoła, powiedział mi, że zauważył, iż ludzie w kościele patrzyli na niego ze współczuciem. I ma nadzieję, że swoim kalectwem przypomniał im cuda i łaski narodzonego Jezusa, który przecież przywracał głuchym słuch, niewidomym wzrok, a kalekom sprawność.

Głos pana Cratchita drżał z ogromnego wzruszenia, a zadrżał jeszcze bardziej, gdy dodał, że mały Tim coraz lepiej ostatnio się czuje. Jego dalsze wywody przerwało stukanie kul o podłogę i do pokoju, w towarzystwie brata i siostry, wszedł Tim. Rodzeństwo pomogło chłopcu usiąść na jego krześle przy kominku. Pan Cratchit zakasał rękawy, jakby obawiał się, że mogą się jeszcze bardziej zniszczyć, i zabrał się za przygotowanie przedziwnego napoju, który cała rodzina nazywała grogiem. Wlał więc do karafki gorącej wody, następnie wycisnął do niej sok z cytryny i dodał odrobinę imbiru. Na koniec wymieszał napój energicznymi ruchami w jedną i drugą stronę. Tymczasem Piotr z najmłodszymi dziećmi pobiegł ochoczo do piekarza po tak bardzo wyczekiwaną gęś. Po chwili przynieśli ją z wyrazem tryumfu na twarzy.

Na widok pieczeni w pokoju zapanowała taka radość, wesołość, hałas i ogólne zamieszanie, że można by pomyśleć, iż gęś w Anglii jest niezwykłym i osobliwym zjawiskiem, przy którym biały kruk to nic nadzwyczajnego. Jednak w domu państwa Cratchitów przysmak ten pojawiał się tak rzadko, że nie ma się co dziwić tej nagłej euforii. Wreszcie nastąpiły przygotowania do uroczystego posiłku. Pani Cratchit podgrzała sos, który wcześniej ugotowała w niewielkim rondelku, Piotr z niesłychaną energią utłukł ziemniaki, Belinda dodała cukru do sosu z jabłek, Marta wycierała talerze, pan Cratchit posadził Tima obok siebie przy stole, a malcy ustawili przy stole krzesła dla wszystkich, po czym usiedli koło ojca i wsadzili sobie do ust puste łyżki. Pokusa posmakowania sosu była ogromna, postanowili jednak, że w tym roku nie ulegną jej i poczekają na resztę domowników. Wreszcie wniesiono potrawy i cała rodzina zgromadziła się przy stole, by modlitwą rozpocząć ten wyjątkowy posiłek. Pani Cratchit starannie obejrzała ostrze noża, jakby chciała się upewnić, że nic nie zmąci tej niezwykle uroczystej chwili, a następnie mistrzowskim cięciem rozcięła gęś. Oczom domowników ukazało się ukryte w środku

nadzenie, a aromat soczystych jabłek i gruszek, przyprawionych korzennymi przyprawami, natychmiast rozszedł się po całym pokoju. Podobnie jak odgłos zachwyty wydany przez każdego z Cratchitów.

Cóż to była zresztą za gęś! Zupełnie wyjątkowa! Pan Cratchit przekonywał dzieci, że nikt jeszcze nie upiekł tak cudownej gęsi, jak ich mama. Jej kruchość, aromat, przepyszny sos i nadzenie, rozmiar, ale również niska cena nabycia sprawiły, według pana Cratchita, że danie małżonki stało się tematem licznych rozmów u piekarza. Z kartoflami i sosem mogła wystarczyć na posiłek dla dwóch rodzin. – To prawda – rzekła pani Cratchit, gdy spostrzegła na jednym z talerzy jeden kawałek nieobgryzionej kosteczki. – Jest tak duża, że nie damy rady zjeść jej całej.

Po chwili Belinda zebrała ze stołu brudne talerze i w ich miejsce postawiła czyste nakrycia, gdyż już za chwilę na stole miał pojawić się świąteczny pudding. Ogromnie przejęta pani Cratchit udała się do kuchni po bulgocący garnek. A co jeśli pudding się nie udał? Albo rozpadnie się przy wyjmowaniu? A może ktoś go skradł, podczas gdy oni rozkoszowali się pieczoną gęsią? „Przecież na świecie dzieją się przeróżne rzeczy. To byłoby straszne!” – myślała rozgorączkowana pani Cratchit. Pudding jednak udał się wspaniale. Spod serwetki, w którą był owinięty, buchnęła gęsta, pachnąca para. Przedziwny to zapach. Jakby mieszanina słodkich aromatów z cukierni i pary z pralni. Tak charakterystyczny, że może oznaczać tylko jedno! To pudding!

Pani Cratchit wniosła swoje dzieło rozpromieniona, jednak przy stole skromnie spuściła oczy. Radość z udanej potrawy udzieliła się jednak wszystkim domownikom. Pudding wyszedł fantastyczny. Podobny był w swym kształcie do kuli armatniej, twardy, ale również jędrny, pływający w jeziorze płonącej brandy. Na samym czubku tej pachnącej góry wetknięta była zielona gałązka ostrokrzewu – symbol Bożego Narodzenia.

Pudding był cudowny! Pan Cratchit oznajmił uroczyście, że od dnia ślubu nie jadł równie wspaniałego dania przygotowanego przez małżonkę. Pani Cratchit, która uspokoiła się już po obawach związanych z nieudanym puddingiem, przyznała, że chyba dosypała trochę za dużo mąki. W pokoju znów zapanował wesoły rozgardiasz, każdy pragnął bowiem powiedzieć choć zdanie na temat pysznego puddingu pani Cratchit. I nikomu nawet przez głowę nie przeszło, by stwierdzić, że pudding jest może trochę za mały, jak dla tak licznej rodziny. Byłaby to czysta herezja!

Wreszcie świąteczna wieczerza dobiegła końca, uprzątnięto ze stołu, zdjęto biały obrus i podsycono ogień w kominku. Nadszedł czas, by spróbować mikstury przygotowanej przez pana Cratchita. Grog okazał się wyśmienity i domownicy również jego pochwalili za przygotowanie napoju. Na stole ustawiono aromatyczne jabłka i pomarańcze, a nad palącym się w kominku ogniem umieszczono szufłę z wysypanymi na niej kasztanami. Cała rodzina usiadła w półkołu wokół kominka. Przed panem Cratchitem postawiono zaś całe rodzinne szkło. Może kolekcja ta nie była zbyt okazała, to fakt, przecież tworzyły ją tylko dwie szklanki i rzeźbiony kubek przywieziony z pijalni wód mineralnych, jednak grog smakował w nich wyśmienicie. Zupełnie tak samo, jakby pić go ze srebrnych pucharów. W ogniu trzeszczały pieczone kasztany. Pan Cratchit napełnił naczynia trunkiem, wstał z fotela i podnosząc w górę szklankę, zawołał:

– Wesołych świąt, moje dzieci! Obyśmy w zdrowiu i szczęściu mogli spotkać się w tym gronie za rok.

– Wesołych świąt! – odpowiedzieli chórem pozostali domownicy.

– Niech dobry Bóg nam pobłogosławi – dokończył mały Tim, który siedział na swoim wysokim krześle obok ojca. Bob trzymał go za drobną, wychudzoną rączkę, jakby w ten sposób chciał mu okazać

jeszcze więcej miłości. Na słowa Tima ojcu stanęły łzy w oczach, przycisnął synka mocno do siebie i rozejrzał się ze strachem wokół, jakby chciał go nagle obronić przed jakimś niewidzialnym wrogiem.

– Duchu! – rzekł z ogromnym wzruszeniem w głosie Scrooge. – Powiedz mi, czy mały Tim będzie żyć?

– Widzę opuszczone miejsce przy kominku – odpowiedziało widmo – widzę, jak w przyszłości Bob ściska i całuje małe kule Tima, ale jego już nie widzę. Jeśli mój następca nie zmieni nic w obrazach, które teraz mi się ukazują, dziecko umrze.

– Nie! Proszę, nie! Błagam cię duchu, ocal go! – szeptał przejęty Scrooge.

– Po co? Czemu tak się tym martwisz? Jaka to dla ciebie będzie strata? Jego śmierć będzie przecież pożyteczna, gdyż obniży się poziom przeludnienia.

Scrooge z ogromnym wstydem, który piekł go w każdej części jego ciała, spuścił głowę. Zrozumiał bowiem, że duch powtórzył słowa, które on sam dwa dni temu wypowiedział do dwóch nieznanym zbierających datki dla biednych. Przepęłnił go bezgraniczny wstyd i żal.

– Sam siebie teraz osądź, człowieku bez serca! – odezwał się z niezwykłą mocą w głosie duch. – Osądź bluźnierstwa, które wcześniej wypowiadałeś. Ty chcesz wyrokować, kto ma umrzeć, a kto ma żyć?! A może w oczach Boga to ty jesteś mniej godnym życia niż ten biedny, kaleki chłopiec? Albo miliony mu podobnych biedaków? Boże, ten nędzny robak śmie dyktować prawa życia i śmierci.

Upokorzony, przejęty, ale również niezwykle wzruszony Scrooge zalał się łzami, a każde wypowiedziane przez ducha słowo powodowało w nim kolejną falę dreszczy, tak że teraz trzął się jak liść osiki. Nagle usłyszał swoje nazwisko. Zdziwiony podniósł wzrok.

– Zdrowie pana Scrooge'a – rzekł Bob i podniósł do góry szklanekę na znak toastu. – Zdrowie mojego pracodawcy, któremu zawdzięczamy byt, odpoczynek i całą tę wspaniałą ucztę.

– Rzeczywiście, bardzo zacny ten twój pracodawca! – wykrzyknęła oburzona pani Cratchit, a jej twarz pokrył rumieniec gniewu. – Chciałabym, żeby tu przyszedł. Już ja bym mu prosto w oczy powiedziała, jaki byt i odpoczynek nam zapewnił. Długo pamiętałby ucztę, którą bym dla niego wyprawiła!

– Moja kochana – upomniał ją Bob. – Dzieci tu są...! Dziś jest Wigilia!

– Masz rację. Za takiego skąpca i tyrańca bez serca, jakim jest ten twój pracodawca Scrooge, można wypić toast wyłącznie w święta! Przecież sam najlepiej wiesz, jak ten człowiek pastwi się nad tobą, jak każdego dnia wysysa z ciebie całą energię. Nikt nie zna go lepiej od ciebie i nikt nie doznał od niego tylu krzywd, co ty – mój biedaku!

– Moja droga – rzekł łagodnie Bob – przecież dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia.

– Dobrze, wypiję jego zdrowie tylko dlatego, że mnie o to poprosiłeś i że dziś jest tak wyjątkowy dzień. Życzę mu wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku. A czy moje życzenia się spełnią, to już nie ode mnie zależy.

Dzieci, idąc za przykładem rodziców, również wzniosły toast za zdrowie pana Scrooge'a. Uczyniły to jednak w milczeniu i z wyraźną niechęcią. Scrooge był bowiem prawdziwym postrachem całej rodziny, nic zatem dziwnego, że jego nazwisko zawisło przez kilka minut nad rodziną jak gradowa chmura, a twarze dzieci stały się wyjątkowo smutne i posępne.

Po chwili w pokoju znów zapanowała dawna wesołość. Bob oznajmił, że znalazł dla Piotra pracę, która może mu przynieść około sześciu szylingów tygodniowo. Wiadomość ta rozbawiła wszystkich, a zwłaszcza



najmłodsze dzieci, które śmiały się, że ich brat będzie zarabiał tyle samo co tata. Piotr zamyślił się głęboko, zmarszczył przy tym czoło i pociągnął do przodu rogi kołnierzyka. Wyglądał przy tym tak, jakby zaczął snuć plany, co zrobi z zarobionymi pieniędzmi, gdy już będzie posiadaczem tak zawrotnej sumy. Marta, która pracowała jako szwaczka, zaczęła z kolei opowiadać o trudach swojej pracy, o wymagającej przełożonej, przeróżnych klientach i wielogodzinnym szyciu bez żadnej przerwy. Dlatego tak bardzo cieszyła się na myśl, że jutro choć raz będzie mogła pospać dłużej. Wspomniała też, że przed kilku dniami na własne oczy widziała hrabinę i pewnego młodego lorda, który wzrostem i postawą przypominał Piotra. Na te słowa Piotr wypiął dumnie pierś i ponownie pociągnął ogromny kołnierzyk koszuli, jakby przez chwilę to on był owym wspomnianym lordem. Gdy tak siedzieli wspólnie przy kominku, popijając grog i zajadając upieczone przed chwilą kasztany, nagle Tim zanucił swym słabym, dziecięcym głosem balladę o zagubionym dziecku szukającym drogi do domu wśród potwornej zamieci śnieżnej.

Cóż było takiego niezwykłego w tej rodzinie? Przecież Cratchitowie byli ludźmi biednymi i prostymi, którym obce były maniere i zachowania cechujące wyższe warstwy społeczne. Ich wygląd również prezentował się niezwykle biednie i przeciętnie – skromne, wytarte ubrania, w wielu miejscach połatane, świadczyły, że służyły swym właścicielom już ładnych parę lat. A jednak, mimo całego tego ubóstwa i przeciwności losu, Cratchitowie byli szczęśliwi, wdzięczni Bogu, za to, co mają, szanujący i kochający się nawzajem. Gdy Scrooge opuszczał ten skromny dom, widział, jak ich radość jeszcze wzrastała pod wpływem magicznej rosy z pochodni ducha, który przed odejściem chciał skropić nią każdy kącik ich mieszkania. Na koniec widmo zatrzymało się nad małym Timem i długo stało nad chłopcem ze swoją pochodnią, spoglądając na niego z niezwykłą miłością, dobrocią i współczuciem.



Gdy wreszcie Scrooge i duch opuścili dom Cratchitów, na dworze panowała już ciemna, nieprzenikniona noc. Z nieba spadały obfite płatki lepkiego śniegu, a we wszystkich oknach jaśniał blask lamp i świec. Scrooge leciał z duchem ponad ulicami miasta. Pod sobą obserwował przesuające się sceny świątecznych przygotowań. Tu, w jednym z domów, migocące światło cienkich świec oświetlało rodzinę przygotowującą się do skromnej kolacji. Inny obraz prezentował grupkę rozradowanych dzieci, biegnących wąską ulicą na spotkanie swoich zamężnych siostr i żonatych braci, wujów, ciotek i dziadków. W jeszcze innym miejscu Scrooge obserwował osoby, które już rozpoczęły rodzinne świętowanie przy wspólnym stole. Na ulicach, które dwóch niewidzialnych wędrowców oglądało z góry, panował ogromny ruch. Ludzie, pieszo i w powozach, obładowani świątecznymi podarkami i potrawami, udawali się do swoich krewnych na wigilijne wieczerze. Można by wręcz przypuszczać, że wszystkie domy i mieszkania są teraz puste, takie zamieszanie panowało poniżej, jednak gdy tylko Scrooge przyjrzał się dokładniej, zauważył, że w każdym domu czekano na gości. Uradowany duch co chwila potrząsał swą potężną pochodnią i rozlewał na przechodniów krople rosy niosące radość i szczęście. Nawet mężczyzna zapalający uliczne latarnie, którego drogę wyznaczały nagle błyski jasnego światła, wybuchnął szczerym, tubalnym śmiechem, pod wpływem działania magicznych kropli z pochodni widma. Śmiał się i śmiał, choć sam pewnie nie rozumiał, skąd pojawiła się u niego ta nagła wesołość. Nie mógł przecież przypuszczać, że właśnie minął go duch tegorocznych świąt.

Nagle sceneria wokół nich zmieniła się zupełnie. Scrooge z przerażeniem rozglądał się po ponurym pustkowiu, w którym wylądowali. Wokół nich porozrzucone były olbrzymie granitowe głazy, przypominające przeraźliwy i tchnący jakimś dziwnym smutkiem cmentarz olbrzymów.

Jedyną ozdobą tego posępnego krajobrazu był mech i nieliczne karłowate rośliny porastające kamienie oraz wdzierająca się w każdą szczelinę woda, która pod wpływem dużego mrozu zastygła w bezruchu, tworząc fantazyjne, lodowe kształty.

– Gdzie jesteście? – zapytał Scrooge.

– W miejscu, gdzie żyją górnicy, którzy na co dzień ciężko pracują we wnętrzu ziemi. Oni również mnie znają. Spójrz!

W okienku niewielkiej lepianki, którą dopiero teraz pomiędzy głazami dostrzegł Scrooge, zabłysło światło. Duch i Scrooge przeniknęli przez ścianę i znaleźli się wewnątrz chaty, gdzie zastali wesołe towarzystwo. Przy stole siedziało starsze małżeństwo, ich dzieci, wnuki, sąsiedzi, a wszyscy ubrani byli w świąteczne stroje. Nagle starzec zanucił drżącym głosem kolędę, a pozostali członkowie rodziny powtarzali chórem każdą zwrotkę. Duch wyciągnął pochodnię i z radością pobłogosławił wszystkich zebranych w tej ubogiej lepiance. Następnie rozkazał Scrooge'owi, by ponownie złapał się jego płaszcz i wzniósł się ponad ziemię.

Scrooge był tak skupiony na trzymaniu skrawka płaszcz, że nie zauważył początkowo zmiany scenerii. Dopiero przejmujący chłód spowodował, że przedsiębiorca rozejrzał się uważnie wokół siebie i z przerażeniem zobaczył, jak pod nim w oddali nikną nagie skały okalające wybrzeże. Lecieli nad morzem! Scrooge, odurzony hukiem potężnych fal rozbijających się nad ciemnostalową otchłanią, czuł, że prawie traci przytomność z przerażenia. Paraliżował go ten potężny żywioł, który szalał wściekle pod nimi, jakby chciał zburzyć i zdominować cały ląd.

Na stromej skale, sterczącej samotnie pośród rozszalałych morskich bałwanów, wznosiła się latarnia morska. Dół jej oplatały zwoje nieznanych roślin, na jej szczycie zaś swe gniazdo uwiły drapieżne ptaki, które niczym dzieci wiatru i burzy wracały tu po całodziennych wędrówkach.

Ku zdziwieniu Scrooge'a, w tym przepelnionym samotnością i ogromnym smutkiem miejscu, we wnętrzu latarni, przy niewielkim, zbitym z kilku prostych desek stole siedziało dwóch mężczyzn. Latarnicy popijali grog i z życzliwym uśmiechem składali sobie najszczerze świąteczne życzenia. Starszy z nich, o poważnej i surowej twarzy, pociemniałej od burz i wichrów, z którymi nie raz musiał się zmagać, wyglądał wręcz jak miedziany, poszczerbiony pod wpływem czasu posąg. A gdy swym chropowatym, zdartym od walki z żywiołami, głosem zaczął nucić pieśń, Scrooge'owi wydawało się, jakby to nie ludzki głos a sam wiatr zawył tę dziką, a jednak przepelnioną jakąś świąteczną mocą i radością pieśń.

Duch pobłogosławił latarników i dalej leciał wśród wzburzonych fal oceanu, aż wreszcie wylądowali na statku miotanym przez szalejącego sztorm. I tu widmo obeszło każdy zakątek statku, od steru, i dziobu poczynając, poprzez kabiny oficerów i zwykłych marynarzy, aż po sam czubek masztu, gdzie wartę mieli strażnicy. I tu każdy otrzymał świąteczne błogosławieństwo, a gdy tylko na członków załogi spadła rosa z pochodni, rozległ się natychmiast wspólny śpiew kolęd, wzajemne życzenia wesołych świąt i wspomnienia poprzednich wigilii spędzonych wśród najbliższych. Nawet tu, na tym zapomnianym przez świat okręcie, walczącym teraz z potężnym żywiołem burzy i morskich fal, pamiętano o Bożym Narodzeniu, a życzenia świąteczne przeplatały się z nadzieją szczęśliwego powrotu do domu. Waśnie i kłótnie, które jeszcze przed chwilą różniły marynarzy, odeszły w zapomnienie, ustępując miejsca wspomnieniom nieobecnych krewnych i przyjaciół, którzy tam – na lądzie, na pewno również o nich pamiętają.

Scrooge z niezwykłym skupieniem próbował wsłuchiwać się w rozmowy marynarzy, które zagłuszało żalosne, przejmujące wycie wiatru. Gdy tak słuchał, a jednocześnie próbował dostrzec coś w otaczającej statek ciemności,

nagle rozpoznał znajomy, dźwięczny i serdeczny śmiech. Drgnął, przejęty tym dźwiękiem. Był to bowiem śmiech jego siostrzeńca! Scrooge zamrugał kilkukrotnie oczami i spostrzegł, że statek i morze rozplynęły się nagle, a on wraz z duchem znajdują się w ciepłym, schludnym i jasno oświetlonym pokoju. Rozejrzał się zdumiony. Obok niego stał duch i uśmiechał się życzliwie, patrząc na młodego, niezwykle rozbawionego człowieka.

– Cha! Cha! Cha! – śmiał się całym swym ciałem siostrzeniec Scrooge'a. – Cha! Cha! Cha!

Widok ten był doprawdy zaskakujący. Był to bowiem chyba najweselejszy człowiek, jakiego miałem okazję spotkać, a jeśli ktoś z was – drodzy czytelnicy – zna serdeczniejszą osobę, to chętnie bym ją poznał. Myślę jednak, że trudno będzie znaleźć na świecie kogoś równie radosnego, co siostrzeniec Scrooge'a. I tak jak wszelkie choroby i troski bywają zaraźliwe, tak też radość oraz dobry humor mogą z łatwością udzielić się innym. Jest to chyba największa łaska Opatrzności, a ten, kto nie potrafi cieszyć się cudzym szczęściem, ma martwe, zatrute serce.

Siostrzeniec Scrooge'a zaśmiewał się do łez, trzymając się za boki i trzęsąc się na całym ciele, a wraz z nim śmiała się jego młoda i piękna żona, chichotały jej siostry i przyjaciele domu. Cały pokój trząsał się od echa rozbrzmiewającego, nieustannego, szczerego śmiechu. Była to doprawdy cudowna muzyka!

– Cha! Cha! Cha! Naprawdę, daję wam słowo – mówił pomiędzy kolejnymi salwami śmiechu siostrzeniec – powiedział, że Boże Narodzenie to bzdura! Cha! Cha! Cha! Słyszeliście kiedyś coś równie niedorzecznego? Cha! Cha! Cha!

– Właściwie to bardzo smutne, Fred – zwróciła się do siostrzeńca jego żona. – Powinniśmy mu współczuć, a nie śmiać się z niego. – Kobieta próbowała przez chwilę utrzymać powagę na twarzy, jednak zaraźliwy śmiech szybko wziął górę i ponownie się roześmiała.

– To stary dziwak! – stwierdził Fred. – Przecież mógłby być bardziej uprzejmy. Nie śmieję się z niego, lecz z jego dziwactwa. Przez te swoje złośliwości, tak naprawdę sam najbardziej cierpi.

– Podobno jest bardzo bogaty? – zapytała żona. – Tak przynajmniej kiedyś wspominałeś.

– I co mu z tego bogactwa? – odpowiedział Fred. – Przecież nikt z niego nie korzysta, nawet on sam! Odmawia sobie wszystkiego. Na wszystkim oszczędza. Co to za życie?

– Nie lubię go, choć nigdy go nie spotkałam – rzekła kobieta, a jej siostry jednogłośnie potwierdziły jej opinię.

– Nie osądzałbym go aż tak surowo – odpowiedział Fred. – Jest przecież bratem mojej kochanej matki, a poza tym, komu szkodzi jego gniew, nienawiść do ludzi i skąpstwo? Tylko jemu samemu. Nie kocham go, to prawda, ale żal mi go jednak. Pomyśl, teraz pewnie siedzi sam w pustym mieszkaniu, jakby nie miał nas. A przecież mógł spędzić ten wieczór z nami i zjeść nasz skromny obiad.

– Stracił dziś zatem może skromny, ale za to bardzo smaczny obiad – zażartowała młoda żona, a wszyscy zebrani potwierdzili, że posiłek rzeczywiście był wyśmienity. Na te słowa Fred tylko pokręcił głową i z wesołą przekorą w głosie, stwierdził, że nie wierzy w kulinarne zdolności tak młodych gospodyń.

– Wydaje mi się jednak – kontynuowała kobieta – że wkrótce się przekonasz, że zupełnie niesłusznie współczujesz temu staremu sknerze.

– Dziś jednak współczuję mu podwójnie, gdyż stracił możliwość spędzenia tego świątecznego wieczoru w tak przemiłym i wesołym towarzystwie. Chyba nie zaprzeczycie, że nasze towarzystwo jest zdecydowanie lepsze od jego ciężkich, przesiąkniętych złością myśli, z którymi pozostał sam w tym brudnym, ciemnym i wilgotnym biurze – rzekł pojednawczo siostrzeniec. – Prawie wypchnął mnie dziś za drzwi,



bylebym już tylko sobie poszedł. Jednak za rok i tak przyjdę do niego, by złożyć mu życzenia. Może sobie szydzić z Bożego Narodzenia i świątecznych zwyczajów, jednak jestem pewien, że przed śmiercią zmieni zdanie na ten temat. Może dopiero wtedy również on odpowie mi na moje życzenia „Nawzajem!”. A jeśli moim postępowaniem uda mi się zmienić go choć na tyle, by był odrobinę miłszy dla swego pracownika i by podniósł mu to niegodnie niskie wynagrodzenie – będę najszczęśliwszym człowiekiem. Wczoraj wydawało mi się, że nie był tak surowy, jak zazwyczaj.

Wszyscy ponownie wybuchnęli głośnym śmiechem, słysząc te pełne naiwnej nadziei słowa Freda, lecz on nie spytał nawet, z czego się śmieją, tylko dołączył do tego wesołego chóru. Gdy goście wypili herbatę, przyszedł czas na muzykę. Kobiety śpiewały, mężczyźni grali na fortepianie i skrzypcach, a pani domu wtórowała im na harfie. Potem żona siostrzeńca zaśpiewała prostą piosenkę – ulubioną melodię matki swojego męża. Znajome, pełne bolesnych wspomnień dźwięki sprawiły, że cała przeszłość Scrooge'a ponownie stanęła mu przed oczami. Wzruszony pomyślał, że może gdyby sam choć czasem zanucił tę melodię, to nie zerwałby tak łatwo wszystkich kontaktów z rodziną.

Po wspólnych śpiewach i grze w fanty oraz w ciuciubabkę, gdy rozbawione i rozweselone towarzystwo ponownie usiadło wokół kominka, przyszedł czas na wznoszenie świątecznych toastów. W pewnym momencie, wśród ogólnego harmidru, siostrzeniec zawołał:

Wypijmy zdrowie mojego wujka Scrooge'a!

– Niech ci będzie! Zdrowie największego samotnika na świecie! Zdrowie pana Scrooge'a! – wykrzyknęli wszyscy goście.

– Choć wuj nie przyjął ode mnie świątecznych życzeń, to teraz mu je wyślemy. Wesołych świąt, wujku! Twoje zdrowie!

Scrooge, który z ogromnym zainteresowaniem i wzruszeniem obserwował całą tę scenę, był zachwycony. Czuł się tak, jakby właśnie uro-

dził się na nowo. Jakby cała ta jego złośliwa, pełna nienawiści, gniewu, skąpstwa i złości skorupa nagle odpadła, jakby zrzucił z siebie ciężar, który dźwigał wiele lat. Scrooge czuł się szczęśliwy! Gdyby tylko mógł, chętnie podziękowałby wszystkim za ten wzniesiony na jego cześć toast. Gdyby tylko duch mu pozwolił... Lecz w tej właśnie chwili, gdy siostrzeniec wypijał ostatni łyk – wszystko zniknęło.

Scrooge i duch udali się w dalszą wędrówkę. Odwiedzili wiele przeróżnych miejsc, wiele domów, gmachów, mieszkań. Duch zatrzymywał się przy łóżkach obłożnie chorych, a ci natychmiast zapominali o dręczącym ich cierpieniu. Odwiedzał wygnańców, którym po skropieniu pochodnią nagle wydawało się, że znowu są w swej utęsknionej, ojczyściej ziemi. Pocieszał zrozpaczonych, najbardziej, ubogich i zapomnianych przez świat. I wszędzie tam, gdzie się zjawiali, w każdym przytułku, szpitalu, więzieniu, duch pozostawiał swoje błogosławieństwo i niósł ludziom miłość, wiarę, nadzieję i pocieszenie. Wędrówka ta była dla Scrooge'a prawdziwą lekcją ludzkiego miłosierdzia.

Była to niezwykle długa noc, jeśli to wszystko, co Scrooge obserwował i czego doświadczył, wydarzyło się tylko tej jednej nocy. Scrooge miał bowiem wrażenie, jakby ich podróż trwała całe mnóstwo wigilii Bożego Narodzenia i jakby one wszystkie złożyły się na tę jedną, wyjątkową wędrówkę. I choć nie czuł najmniejszego nawet zmęczenia, ze strachem i jakimś niezrozumiałym wewnętrznym przejęciem zauważył, jak duch z każdą kolejną wizytą wyraźnie się starzeje. Przedsiębiorca nie śmiał o tym mówić, lecz gdy po kolejnej wizycie włosy zjawy stały się zupełnie białe, zapytał nieśmiało:

– Jak długo żyją duchy Bożego Narodzenia?

– Bardzo krótko. Umrę tej nocy. – odpowiedziało widmo.

– Tej nocy?

– Tak, o północy. Moja godzina się zbliża. Posłuchaj.

W tym momencie zegar wybił trzy kwadranse po jedenastej. Zdziwiony Scrooge dostrzegł nagle, że coś tajemniczego rusza się pod fałdami płaszcza zjawy. Spytał zatem nieśmiało ducha, co tam skrywa.

– Sam zobacz! – odpowiedziało widmo i odsłoniło połę płaszcza, spod którego wyłoniła się dwójka wynędzniałych, przeraźliwie wymizrowanych, brudnych, odrażających wręcz swym wyglądem dzieci. Maluchy padły do stóp ducha i gwałtownie złapały skrawki jego szaty.

– Spójrz na nie! – rozkazał stanowczo duch, wskazując ponownie skąpcowi porażającą nędzę tych małych dzieci.

Na widok tak ogromnego ludzkiego nieszczęścia, Scrooge cofnął się przerażony. Chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach. Dopiero po chwili ledwo wyszeptał:

– Czyje to dzieci?

– Czyje? Ludzi. Twoich braci. Jedno nazywa się Bieda, a drugie Ignorancja. Widzisz ich pomarszczone i zdeformowane twarze? Odcisnęła się na nich cała wasza ludzka pogarda dla drugiego, potrzebującego człowieka. Także twoja! Strzeż się! Strzeżcie się wszyscy!

– Przecież te dzieci potrzebują pomocy, jakiegoś schronienia! – zawołał przejęty Scrooge.

– Czyż nie ma więzień i przytułków? – zapytał z gorzką ironią duch, ponownie powtarzając słowa, które kiedyś wypowiedział Scrooge.

W tym momencie zegar wybił północ.

Scrooge chciał coś jeszcze dodać, lecz zjawa zniknęła. Gdy ucichło ostatnie uderzenie zegara, Scrooge przypomniał sobie ostatnią przepowiednię Marleya. Zaczął zatem rozglądać się wokół siebie i wkrótce ujrzał, jak z oddali zbliża się w jego kierunku – niezwykle poważna i dostojna postać, w ciemnej, powłóczystej szacie, chowająca twarz pod ogromnym kapturem. Zjawa nie szła, lecz płynęła nad ziemią, jakby unosiły ją kłęby otaczającej wszystko, gęstej mgły.



## V. Ostatni duch

Tajemnicza postać zbliżała się w milczeniu w kierunku Scrooge'a. Gdy duch był już blisko, przedsiębiorca – pod wpływem nagłego lęku, ale też niezrozumiałej siły i uroku zjawy – padł na kolana. Widmo od stóp po czubek głowy okryte było czarną, długą szatą, wtapiającą się w ponury mrok nocy. Na tle panującej wokół ciemności odznaczała się wyraźnie tylko wyciągnięta w kierunku Scrooge'a ręka. W końcu wysoka, pełna majestatu i powagi postać stanęła w milczeniu przed Scrooge'em.

– Czy jesteś duchem przyszłych Świąt Bożego Narodzenia? – zapytał drżącym głosem Scrooge.

Duch nie odpowiedział i tylko wskazał wyciągniętą ręką przed siebie.

– Masz mi pokazać rzeczy, które wydarzą się w przyszłości, prawda, duchu? – wyszeptał przejęty Scrooge.

Postać w milczeniu skinęła ukrytą pod obszernym kapturem głową i ponownie wskazała wyciągniętą ręką gdzieś przed siebie, dając przedsiębiorcy znak, by podążył za nią. Scrooge był przekonany, że towarzystwo istot nadprzyrodzonych nie wzbudzi w nim już takiego przerażenia. Mylił się jednak, gdyż pojawienie się nowego gościa przejęło go tak ogromnym lękiem, że poczuł, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Zachwiał się i o mało nie upadł na ziemię. Duch zatrzymał się, jakby czekał, aż mężczyzna odzyska siły. Ponownie skinął w milczeniu głową. Na myśl, że pod tym czarnym całunem ukryte są upiorne, wpatrzone w niego nieruchomo oczy, ciało Scrooge przeszył lodowaty dreszcz.

– Duchu przyszłości – zawołał z rozpaczą Scrooge. – Przerażasz mnie o wiele bardziej niż twoi poprzednicy! Zlituj się nade mną i powiedz coś! Wiem, że przybyłeś do mnie, by mnie ocalić. Będę słuchać twoich rad i nauk. Chcę zmienić swoje postępowanie. Tylko proszę, powiedz coś! Choć jedno słowo!

Odpowiedziała mu jednak znowu ta sama cisza. I tylko ręka widma niezmiennie wskazywała, by Scrooge podążył za nim.

– Dobrze – jęknął Scrooge. – Prowadź mnie zatem, duchu. Noc szybko mija, a każda chwila z tobą jest cenna. Pójdę z tobą, choć napawasz mnie lękiem, nad którym trudno mi zapanować.

Zjawa ruszyła naprzód, a Scrooge powoli szedł za nią, w cieniu jej szaty. Wtem poczuł, jak ów mroczny cień porywa go i unosi gdzieś daleko nad ziemią.

W pewnym momencie oczom Scrooge'a ukazało się miasto, jakby nagle wyrosło przed nimi i otoczyło ich ciasno swymi budowlami. Scrooge zorientował się, że znajdują się w Londynie, w gmachu tutejszej giełdy. Wokół nich kłębił się gęsty, przemieszczający się nieustannie tłum. Bankierzy, agenci, przedsiębiorcy, kupcy – wszyscy gdzieś biegli, jedni w prawo, inni wlewo, jakby ten potężny organizm musiał być w ciągłym ruchu. Jeszcze inni rozmawiali w niewielkich grupach, gestykulując przy tym żywo. Spoglądali na zegarki, bawili się łańcuszkami, chwyтали za guziki od surdutów bądź w zamyszeniu wycierali pot z czoła. Nic nadzwyczajnego – przecież Scrooge widywał takie sceny wielokrotnie i sam w nich równie często uczestniczył.

W pewnym momencie duch zatrzymał się w pobliżu małej grupki bankierów i inwestorów, i wskazał Scrooge'owi ręką, by przysłuchał się uważnie ich rozmowie.

– Nic więcej nie wiem – zapewnił pozostałych słuchaczy tęgi jegomość, a jego obfity podbródek zadrgał na te słowa, jakby chciał potwierdzić ich prawdziwość. – Słyszałem tylko, że umarł.



↑ 1007.01 RATE

DIS LISTED	111.200	111.17	111.21
DIS LISTED	111.200	111.17	111.21
DIS LISTED	111.200	111.17	111.21
DIS LISTED	111.200	111.17	111.21

The LUX Company

DIS LISTED	111.17	111.21
DIS LISTED	111.17	111.21

The LUX Company

DIS LISTED	111.200	111.17
DIS LISTED	111.200	111.17

The LUX Company



– Kiedy to się stało? – zapytał inny.  
– Podobno poprzedniej nocy.  
– Wiadomo, co było przyczyną? Może chorował na coś? – wtrącił się do rozmowy trzeci z mężczyzn, zażywając jednocześnie sporą ilość tabaki. – Myślałem, że kto jak kto, ale on nigdy nie umrze.

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiedział pierwszy z nich, ziewając przy tym przeciągle.

– A wiadomo, co zrobił z majątkiem? Miał przecież sporą fortunę – zapytał ciekawie ktoś z boku.

– Nie mam pojęcia, pewnie musiał go komuś zapisać – odrzekł ponownie tęgi mężczyzna. – Wiem tylko, że mi nic nie zostawił w spadku.

Dowcip ten rozbawił zgromadzonych mężczyzn, gdyż wybuchnęli nagle gromkim śmiechem.

– Chyba skromny będzie miał pogrzeb? Ciekawe, czy ktoś w ogóle pójdzie w kondukcje pogrzebowym za jego trumną?

– Z tego, co wiem, z nikim się nie przyjaźnił, nie wiem nawet, czy miał jakąś rodzinę. Nie słyszałem też, żeby ktoś się na jego pogrzeb wybierał – odpowiedział tęgi mężczyzna. – A może my byśmy poszli? Nie jesteście ciekawi? Mogę nas zawieźć swoim powozem.

– Skąd taki pomysł? – zapytał niski, pękaty niczym dojrzała gruszka, mężczyzna.

– Sam nie wiem. Ale wydaje mi się, że chyba byłem najbliższym jego znajomym. Gdy spotykaliśmy się na ulicy, zawsze wymieniliśmy ze sobą parę zdań. Oczywiście wyłącznie o interesach, ale zawsze... Muszę już wracać do pracy. Do zobaczenia, panowie!

Mężczyźni rozeszli się. Jedni udali się do swoich obowiązków, inni dołączyli do kolejnych niewielkich grup osób. Scrooge znał ich wszystkich. Spojrzał zdziwiony na ducha, jakby prosił go o wyjaśnienie tej tajemniczej rozmowy.

Tymczasem duch opuścił budynek giełdy. Na ulicy wskazał ręką kolejne dwie rozmawiające osoby. Scrooge ponownie zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Miał bowiem nadzieję, że pomoże mu to w rozwiązaniu zagadki. Rozmawiającymi mężczyznami była dwójka bogatych i niezwykle szanowanych przedsiębiorców. Scrooge znał ich doskonale. Niegdyś bardzo zależało mu na nawiązaniu z nimi kontaktów biznesowych.

– Co u pana słychać? – zagadnął jeden z nich.

– Wszystko dobrze, dziękuję. A u pana? – odpowiedział drugi z mężczyzn.

– Również nie narzekam. Słyszałem, że stary sknera wreszcie zamknął wszystkie rachunki?

– Podobno. Też o tym słyszałem. Co za pogoda! Strasznie dziś zimno, brrr.

– Jak zwykle o tej porze. Mamy przecież Boże Narodzenie. Warto przejechać się saniami.

– A daj mi pan spokój z przejażdżkami. Nie mam dziś do tego głowy! Do widzenia!

Ani słowa więcej. Nic! Żadnej wskazówki. Na tym pożegnaniu skończyła się ta krótka rozmowa.

Początkowo Scrooge zdziwił się, dlaczego duch każe mu przysłuchiwać się tak błahym rozmowom. Jednak po pewnym czasie zrozumiał, że zjawia musi mieć jakiś ważny powód. Inaczej nie traciłoby czasu na takie pogawędki. Scrooge zamyślił się i spróbował odtworzyć w myślach to, co usłyszał. W każdej z rozmów wspomniano, że ktoś umarł. Nie chodziło przecież o Jakuba Marleya, gdyż ten od ładnych paru lat już nie żył. A duch, który był jego przewodnikiem, zabrał go przecież w podróż do przyszłości. Kogo zatem mieli na myśli rozmawiający mężczyźni?! Scrooge zaczął intensywnie myśleć, lecz nikt nie

przychodził mu do głowy. Czuł jednak, że w zasłyszanej rozmowie musi kryć się jakaś nauka dla niego. Przecież Marley wyraźnie zapowiedział, że każda zjawia ma na celu jego dobro i przyjdzie do niego z konkretnymi wskazówkami. Tylko o co chodziło tym razem? Kim był zmarły? Scrooge próbował coś z tego zrozumieć, ale czuł, że otacza go wyłącznie ciemność.

– Muszę jeszcze poczekać – szepnął sam do siebie. – Na pewno za chwilę wszystko się wyjaśni.

Scrooge zaczął się rozglądać w poszukiwaniu samego siebie w przyszłości. Jednak, choć zegar wybił godzinę, o której zazwyczaj zjawiał się w budynku giełdy, tym razem nie mógł siebie nigdzie dojrzeć. Miejsca, w których powinien być, zajmowali natomiast inni ludzie. „To dziwne” – pomyślał. – „W moim życiu musiało chyba wydarzyć się coś ważnego. Może skorzystałem z rad danych mi przez zjawy i zmieniłem całkowicie swoje życie? Stałem się innym człowiekiem?” Jednak duch nadal milczał i wyciągał przed siebie swoją rękę. Gdy Scrooge ocknął się z zamyślenia, zauważył, że widmo bacznie mu się przygląda. I mimo że nie widział jego mrocznych oczu, to czuł na sobie jego przeszywające spojrzenie. Zadrżał ze strachu.

Duch bez słowa ruszył w dalszą podróż, a Scrooge posłusznie podążył za nim. Opuścili giełdę, minęli centrum Londynu i wkrótce skręcili w boczne, wąskie i niezwykle kręte uliczki. Scrooge wiedział, że dzielnica, do której zaprowadziło go widmo, cieszy się w mieście bardzo złą sławą. Uliczki były tu wąskie i niezwykle brudne, a domy i sklepy obskurne. W powietrzu unosił się straszny fetor, a mijani ludzie byli zazwyczaj pijani, brudni, w poszarpanych łachmanach. Każdy dom, zaułek, brama obrazowały, jak straszna nędza panuje w tej części miasta. Nagle sceneria wokół nich rozmyła się i zupełnie zmieniła. Znaleźli się w ciemnym, niezwykle ponurym pokoju. Szare światło,

które wciskało się przez niewielkie okno oświetlało jedynie znajdujące się na środku łóżko. Choć w pokoju panował mrok, Scrooge z przerażeniem zauważył, że na łóżku leży postać przykryta czarnym sukniem, opadającym aż do ziemi. Domyślił się, że osoba ta nie żyje. Przy zmarłym nie było nikogo. Pokój był pusty. Nikt nie czuwał przy zwłokach, nikt po nim nie płakał.

Scrooge z przerażeniem spojrział na widmo, które w milczeniu wskazało głowę nieboszczyka okrytą delikatnie czarnym całunem. Materiał był zarzucony lekko, z łatwością zatem można było odsłonić jego rąbek, by rozpoznać twarz. Scrooge bardzo chciał podnieść kawałek sukna i rozwiązać wreszcie tę całą zagadkę. Jednak gdy już zbierał się, by podejść do łóżka, cała wcześniejsza odwaga nagle prysła, a jej miejsce zajął paraliżujący, ogarniający każdą komórkę jego ciała strach. Przedsiębiorca stał zatem nieruchomy, czując, jak kolejne, lodowate igiełki lęku wbijają mu się w ciało. Ledwo oddychał.

– Chodźmy stąd, duchu! Błagam cię! Zabierz mnie stąd! – wychrypiał sparaliżowany Scrooge. – To miejsce jest okropne. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Dlatego błagam cię, zabierz mnie stąd natychmiast!

Widmo jednak nadal wskazywało mu głowę nieboszczyka.

– Duchu, proszę, przestań! – wyjąkał Scrooge. – Rozumiem, co chcesz mi przekazać, ale nie mam siły! Nie dam rady tego zrobić!

Duch patrzył na niego w posępnym, przerażającym milczeniu.

– Pokaż mi, proszę, choć jedną osobę, dla której ten człowiek był bliski, dla której jego śmierć nie była obojętna – błagał rozgorączkowany Scrooge. – Zaklinam cię, duchu! Pokaż mi choć jedną taką osobę!

W momencie, gdy kończył wypowiadać ostatnie słowo, obraz ponownie się rozmył, a już w następnej sekundzie oczom Scrooge'a ukazała się kolejna, jakże odmienna scena. Pokój, do którego nagle się

przenieśli, jaśniał słonecznym blaskiem. W środku bawiło się kilkoro dzieci. Była tam też kobieta, która na kogoś czekała. Niewiasta była zdenerwowana, a wesołość otaczających ją dzieci wyraźnie ją męczyła. Kobieta przemierzała nerwowo pokój, wyglądała przez okno i co chwilę niecierpliwie zerkała na stojący w kącie zegar. Wreszcie usiadła przy stole i zaczęła szyć, jednak ręce jej tak mocno drżały, że szybko rzuciła rozpoczętą pracę.

Nagle na schodach rozległy się czyjeś kroki. Kobieta natychmiast podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko. Do pokoju wszedł młody człowiek – mąż kobiety. Na jego zmęczonej twarzy malował się ponury smutek i troska, spod których nieśmiało przebijał się dziwny promyk nadziei i radości, który jednak próbował ukryć. Mężczyzna usiadł zamyślony przy stole, a głowę, która zdawała się być niezwykle ciężka od przytłaczających go zmartwień, oparł na ręce. Kobieta podała obiad, jednak on ledwie spróbował zupy i z niechęcią odłożył łyżkę.

– Masz jakieś nowe wiadomości? – zapytała niezwykle cicho żona, jakby sam dźwięk wypowiedzianych słów budził w niej lęk.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Powiedz wreszcie, złe czy dobre?!

– Złe – wychrypiał mężczyzna.

– A więc wszystko stracone?! Jesteśmy zrujnowani?

– Nie, Karolino. Jest jeszcze nadzieja – rzekł mężczyzna, a w jego głosie słychać pewną zmianę, jakby owa nadzieja rzeczywiście próbowała się urealnić.

– Zatem dał się jakoś przekonać? To byłby prawdziwy cud! – wyszeptała kobieta.

– On?! Nie, teraz już go nic i nikt nie przekona – odpowiedział mężczyzna. I dodał po chwili – On nie żyje.

Kobieta, której łagodne oczy świadczyły o jej dobrym sercu, gdy tylko usłyszała te słowa, złożyła ręce jak do modlitwy i z wdzięcznością spojrzała w niebo. Nagle, zawstydzona tą mimowolną, ale szczerą, radością, której przed chwilą dała wyraz, pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Wyglądała, jakby prosiła o przebaczenie za swoje poprzednie zachowanie.

– Kto teraz przejmie nasze długi? – zapytała po chwili milczenia.

– Nie wiem, Karolino – odpowiedział mężczyzna. – Pewnie jego spadkobiercy.

– A wiesz, kim oni są?

– Nie mam pojęcia. Jednak mam nadzieję, że zanim cała sprawa spadkowa zostanie zamknięta, uda mi się zdobyć potrzebne pieniądze. A nawet jeśli nie uzbieram całej kwoty, to nie sądzę, by spadkobiercą mógłby być ktoś równie skąpy, nieubłagany i bezduszny, jak on. Najważniejsze, że dziś możemy spać spokojnie, kochanie.

Na twarzach małżeństwa pojawiło się uczucie ulgi, jakby ogromny ciężar spadł im nagle z serc. Wydawało się, że nawet twarzyczki dzieci, które otoczyły rodziców i w ciszy przysłuchiwały się ich rozmowie, zajaśniały jakąś nagłą, żywszą radością, choć z pewnością nie pojmowały powagi całej tej sytuacji. Śmierć nieznanego okazała się błogosławieństwem dla tej rodziny, niosła im bowiem spokój i nadzieję.

– Duchu, czy chcesz mi powiedzieć, że śmierć tego nieszczęśnika w nikim nie pozostawiła ani okruszyny żalu? Że jedynymi emocjami po jego śmierci są radość i ulga? – wyszeptał zgnębiony Scrooge. – Duchu, błagam. Powiedz, że to nieprawda. Daj mi choć cień nadziei, inaczej już nigdy nie zapomnę tego strasznego, ciemnego pokoju i samotnego nieboszczyka pod przerażającym czarnym całunem. Ta wizja będzie do mnie wracać już zawsze. Pokaż mi, że śmierć bywa inna, że pozostawia po sobie inne uczucia. Pokaż mi, że choć jedna osoba żałuje jego śmierci, że płacze po nim, tęskni.

Tym razem widmo poprowadziło go dobrze znanymi uliczkami. Scrooge bacznie rozglądał się wokół, jednak nadal nigdzie nie widział siebie z przyszłości. Wreszcie dotarli do mieszkania Boba Cratchita, tego samego, w którym Scrooge był z poprzednim duchem.

W pokoju panowała niesamowita cisza. Matka siedziała wraz z dziećmi przy kominku. Wszyscy byli dziwnie poważni i spokojni. Jakże różniła się ta scena od ostatniej wizyty Scrooge'a. Dwójka najmłodszych Cratchitów, ostatnio tak rozbawionych, wesołych i głośnych, teraz siedziała cichutko w kącie pokoju, jakby ktoś nagle wysał z nich całą dotychczasową energię. W skupieniu patrzyły na Piotra, który przyciszonym głosem czytał książkę. Kobieta i starsze córki szły.

Gdy Scrooge wraz z duchem przestąpił próg salonu, usłyszał słowa czytane przez Piotra: „I zabrał Pan dziecię do chwały Swojej”. W tym momencie matka nagle odłożyła robótkę i ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsnął nagły dreszcz. Po chwili podniosła głowę i dodała słabym głosem:

– Oczy mnie rozboleły od tego szycia – wyszeptła, tłumiąc wzruszenie. – To przez to ślęczenie przy świecy. Ale już mi lepiej. Nie chciałabym, aby wasz tata zobaczył, że są czerwone i zażawione. Powinien już wrócić do domu.

– Rzeczywiście, powinien już być w domu – zauważył Piotr, zamykając książkę. – Wydaje mi się, że od kilku dni ojciec chodzi jakby wolniej. Jakby świadomie spóźniał się do domu.

W pokoju ponownie zapanowała przejmująca cisza, a po plecach matki przebiegł kolejny dreszcz. Po chwili, tłumiąc płacz, kobieta wyszeptła:

– Pamiętam, jak wcześniej... jak szybko chodził z naszym małym Timem, kiedy nosił go na rękach.

– Ja też to pamiętam – odrzekł z westchnieniem Piotr, a pozostałe dzieci również mu zawtórowały.

– Tim był taki lekki... taki delikatny... Ojciec kochał go nad życie... O, chyba właśnie nadchodzi. Pomówmy już o czymś innym.

Podniosła się i wyszła na spotkanie męża. Pan Cratchit wszedł powolnym krokiem do mieszkania. Jak zawsze otulony był w swój długi, wełniany szalik, który płątał mu się między nogami. Biedny Bob! Dzieci w milczeniu podały mu gorącą herbatę, która czekała na niego przy ogniu. Wszyscy, na wyścigi, starali się mu usłużyć. Gdy tylko usiadł w fotelu koło kominka, dwójka najmłodszych Cratchitów wdrapała się na jego kolana i wtuliła buzie w zmarznięte policzki ojca, jakby tym prostym gestem chciała mu powiedzieć: „Nie martw się już tatusiu, nie bądź ciągle taki smutny. Przecież masz jeszcze nas”.

Bob uśmiechał się łagodnie do każdego ze swoich dzieci, choć był to uśmiech przepełniony ogromnym, skrytym w sercu bólem. Z każdym starał się zamienić kilka słów, tak jak dawniej, jakby nic się nie stało. Zerknął na stół na robótkę, którą przed chwilą wyszywała pani Cratchit i szepnął do żony, że bardzo ładnie wyszła. Po czym zapytał:

– Skończysz ją chyba do niedzieli, prawda?

– Tak, będzie gotowa do niedzieli – jak echo odpowiedziała pani Cratchit. – Dziś też tam byłeś, prawda Bob?

– Tak, przypadkiem, przepraszam kochanie. Zamyśliłem się, wracając do domu. Żałowałem, że nie było was razem ze mną. Wszystko tam jest tak pięknie utrzymane, wokół jest tyle zieleni. Koniecznie musimy pójść tam razem w niedzielę. Dobrze? Musimy go częściej odwiedzać. Przynależem mu, że będę u niego każdej niedzieli. Każdej! Moje najdroższe dziecko! Mój maleńki synek! – I nagle,

jakby nie mógł już dłużej hamować płynącej w jego sercu rozpacz, załkał rozpaczliwie. Długo nie mógł się uspokoić. W końcu wyszedł do drugiego pokoju. W jego rogu stało małe łóżeczko. Bob usiadł przy nim i zamyślił się. Dopiero po chwili uspokoił się na tyle, że mógł wrócić do salonu, gdzie czekali na niego najbliżsi.

Rodzina usiadła wokół kominka. Rozmawiali o tym, jak minął im dzień. Pan Cratchit wspomniał, że spotkał dziś przypadkiem na ulicy siostrzeńca swego pracodawcy, który – choć prawie wcale się nie znali – okazał mu wiele serdeczności. Młodzieniec zauważył bowiem, że Bob jest jakiś przygnębiony, zapytał więc, co jest powodem jego zmartwienia.

– Jego serdeczność naprawdę mnie wzruszyła, więc opowiedziałem mu wszystko. A on na to odpowiedział: „Z całego serca panu współczuję, panie Cratchit. Śmierć ukochanego dziecka musi być dla państwa niewyobrażalną stratą. Proszę przekazać moje najszczerze wyrazy współczucia pana zacnej małżonce”. A po chwili, ku mojemu zdziwieniu, wręczył mi swoją wizytówkę i dodał: „Panie Cratchit, oto mój adres. Gdybym mógł jakoś państwu pomóc, proszę o mnie pamiętać”. Naprawdę ujął mnie tą swoją życzliwością. Rozmawiał ze mną jak przyjaciel, jakby nas znał od dawna. Czułem, że jego słowa są szczerze, że płyną prosto z serca.

– To naprawdę dobry człowiek – wtrąciła wzruszona pani Cratchit.

– To prawda. Kto wie, może znajdzie Piotrowi jakąś lepszą posadę.

– Słyszysz, Piotrze? – zwróciła się do syna pani Cratchit.

– Piotr pewnie zaraz by się ożenił i założył jakiś własny interes – zawołała ze śmiechem jedna z dziewcząt.

– Daj mi spokój! – zaprotestował Piotr, robiąc przy tym przesadnie teatralną, pogardliwą minę. – Wcale nie zamierzam się żenić.



– Tego nie możesz przesądzić ostatecznie w tak młodym wieku. Zapewne kiedyś się ożenisz, ale teraz masz jeszcze na to sporo czasu. – odrzekł ojciec. – Jestem jednak przekonany, że choć każdy z was kiedyś pójdzie własną drogą, to zawsze będziecie pamiętać naszego małego Tima i to pierwsze, bolesne rozstanie.

– Nigdy o nim nie zapomnimy! – zawołały chórem wszystkie dzieci.

– I jestem pewien, że właśnie przez pamięć naszego Tima, który tak cierpliwie i z pogodą ducha znosił swoją chorobę, choć był przecież taki mały, i przez całe to trudne doświadczenie wy także będziecie łagodnymi, cierpliwymi i dobrymi dla innych ludźmi.

– Na pewno, kochany ojczu!

– O jak się cieszę, że was mam! – westchnął wzruszony Bob. – Jesteście moim błogosławieństwem.

Słowa pana Cratchita tak wzruszyły pozostałych, że wszyscy podeszli do niego, by go przytulić i pocałować, a Piotr mocno uściśnął ojcu rękę.

– Duchu – rzekł Scrooge. – Czuję, że zbliża się moment naszego rozstania. Powiedz mi, proszę, kim był zmarły, który w samotności leżał w tym okropnym, ciemnym pokoju?

W odpowiedzi duch przeniósł go ponownie w okolice budynku giełdy. Widmo nie zatrzymało się jednak, lecz unosiło Scrooge'a dalej, a on miał wrażenie, jakby pod nim przesuwano sceny z innych, kolejnych wigilii Bożego Narodzenia. Scrooge błagał go, by zatrzymał się choć na chwilę. Chciał bowiem ujrzeć siebie w przyszłości.

– Duchu, czekaj, proszę. Zatrzymaj się! Przecież to dom, w którym mieszkam, a tam jest moje biuro. Przepracowałem w nim wiele lat. Pozwól mi zajrzeć do niego choć na chwilę. Tak bardzo chciałbym zobaczyć, jaki będę w przyszłości.

Widmo jednak w milczeniu wskazało ręką w przeciwnym kierunku. Tam też się udali.

– Dlaczego zabierasz mnie gdzie indziej? Przecież tu jest moje biuro. Duchu, proszę, zlituj się nade mną.

Zakapturzona postać była nieubłagana i z uporem podążała naprzód. Scrooge'owi udało się na moment zajrzeć przez okno. I choć rzeczywiście była to dawna kancelaria Scrooge'a, w ogóle nie przypominała jego dawnego gabinetu. Pokój był bowiem zupełnie inaczej urządzony, inaczej oświetlony, a w miejscu Scrooge'a siedział jakiś obcy mężczyzna.

Tymczasem duch nadal wskazywał ten sam kierunek, a jego palec ani drgnął. Scrooge podążył za zjawą, jednak jego serce przepełnione było potwornym i niezrozumiałym lękiem, tak innym od strachu, który towarzyszył mu przez ostatnie trzy noce. W myślach zadawał sobie nieustannie powracające pytanie, co też mogło się z nim stać, jak dalej potoczyło się jego życie? I dlaczego jego mroczny przewodnik z takim uporem nie chce pokazać mu jego przyszłości?

Wtem widmo zatrzymało się i Scrooge z drżącym sercem podniósł głowę. Ujrzał przed sobą rząd żelaznych sztchet! Cmentarz! Duch zaprowadził go na cmentarz! Tutaj zapewne spoczywa nieboszczyk, którego ciało leżało pod całunem, a którego nazwisko tak go frapowało. Zapewne za chwilę pozna rozwiązanie całej tej zagadki. Duch ruszył przez cmentarz. Jego mroczna droga wiodła krętymi ścieżkami, pośród starych, omszałych grobowców, skromnych pomników i majestatycznych figur aniołów. Wreszcie posępny przewodnik zatrzymał się i wskazał na jeden z grobów. A znak, jaki uczynił ręką, był tak wymowny i przepełniony niezmierną mocą, że Scrooge, choć ledwo stał na drżących nogach, podszedł do widma.

– Duchu, zanim zbliżę się do tego nagrobka, który mi wskazałeś, błagam cię, powiedz mi, czy to wszystko, co dziś widziałem, to obraz tego, co stanie się nieuchronnie, czy też tego, co może nastąpić, lecz nie musi?

Lecz duch nawet nie drgnął i w przerażającej ciszy nieubłaganie wskazywał na grób. Scrooge poczuł, jak jego ciało przeszywają lodowate dreszcze, których nie był w stanie powstrzymać. Blady z przerażenia, drżący niczym liść, Scrooge podszedł do samotnego grobu i zmusił się, by podnieść na niego wzrok. Wreszcie, z ogromnym wysiłkiem, ledwo słyszalnie przeczytał napis wyryty na nagrobku: „EBENEZER SCROOGE”.

– Więc to siebie widziałem na tym mrocznym łożu śmierci?! – wychrypiał Scrooge.

Widmo skinęło głową ukrytą w czarnym kapturze.

– Nie, duchu! Och, nie! To niemożliwe! – zawołał przerażony Scrooge, chwytając w błagalnym geście skraj szaty zjawy. – Duchu, wysłuchaj mnie, proszę! Jestem już innym człowiekiem, zupełnie innym niż ten, którego widzieliście trzy dni temu! Zrozumiałem wszystko! Wiem, jak cenne są nauki, których ty i twoi poprzednicy mi udzieliliście. Duchu, czy naprawdę nie ma dla mnie ratunku!? Ani cienia nadziei?!

Ręka posępnego, milczącego widma po raz pierwszy zadrżała.

– Dobry duchu! – ciągnął, padając przed swym przewodnikiem na kolana. – Wstaw się za mną! Błagam, okaż mi litość! Powiedz mi, proszę, że jest jeszcze dla mnie nadzieja! Że mogę zmienić te przerażające obrazy, jeśli tylko zmienię swoje postępowanie, swoje dotychczasowe życie! Wszystko już zrozumiałem. Wiem, jakim okrutnym i bezdusznym człowiekiem byłem. Ale chcę się zmienić. Chcę czcić Boże Narodzenie, cieszyć się nim, jak dawniej, gdy byłem małym dzieckiem.



Chcę być dobrym człowiekiem i pomagać innym nie tylko w święta, ale przez cały rok. Obiecuję, że będę pamiętał przeszłość, ale będę żył też teraźniejszością i przyszłością, a wasze rady i to, co dzięki wam zobaczyłem, na zawsze zostanie w moim sercu i myślach. Będę szedł drogą, którą mi pokazaliście. Tylko powiedz mi, proszę, że mogę jeszcze zetrzeć napis wyryty na tym kamieniu.

W tym nagłym uniesieniu pomieszonym z przerażeniem i ogromnym wzruszeniem, którego w tej jednej chwili doświadczył, Scrooge wyciągnął w górę obie dłonie i chwycił uniesioną rękę widma. Duch próbował się wyrwać, lecz zrozpaczony Scrooge ścisnął ją z całej siły. W całym tym siłowaniu Scrooge uderzył nagle w coś niezwykle twardego. Poczuł, jak oblewa go gwałtowna fala bólu. Obrócił się zatem i otworzył oczy! Jak ogromne było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że znowu znajduje się w swoim mieszkaniu, w swojej sypialni! A zamiast ręki ducha ścisną metalową poręcz własnego łóżka!





## VI. Przebudzenie

Scrooge nadal ścisnął poręcz własnego łóżka i nerwowo rozglądał się po pokoju, jakby jeszcze nie mógł uwierzyć, że to już koniec odwiedzin tajemniczych gości i mrocznych podróży w czasie. Przed oczami miał ciągle ostatnią, przerażającą wizję, którą ukazał mu trzeci duch. Jego śmierć!

– Dobre duchy – szeptał rozgorączkowany Scrooge, a po jego twarzy spływały ogromne łzy rozpacz. – Dziękuję wam za to, co mi pokazałyście. Byłem prawdziwym głupcem! Zaślepiionym rządzą posiadania, głuchym na potrzeby i rady innych ludzi. Obiecuję, że odtąd będę pamiętał i szanował przeszłość! Ale będę też żył z myślą o przyszłości! Wasza nauka już na zawsze pozostanie w moim sercu i pamięci. Mój dobry, kochany, Jakubie Marleyu! Byłeś moim prawdziwym przyjacielem! Niech ci Bóg wynagrodzi to, co dla mnie uczyniłeś! Dziękuję ci za twoje przestrogi! Błogosławię niebo i Boże Narodzenie i ciebie przyjacielu z twoim ostrzeżeniem! Przysięgam, że uczynię wszystko, by skruszyć również twoje kajdany.

Scrooge umilkł nagle. Poczł bowiem, jak fala ogromnego wzruszenia zalewa mu serce i wstrząsa całym jego ciałem. W jego duszy obudziły się wszystkie, zapomniane i uśpione przez tyle lat uczucia: radość, szczęście, współczucie, wzruszenie, empatia, wymieszane z lękiem spowodowanym wizjami pokazanymi przez zjawy.

– Zmienię się! Zmienię swoją przyszłość! Od teraz zaczynam nowe życie! – powtarzał Scrooge, ubierając się pospiesznie i robiąc przy tym ogromny bałagan. Wszystko bowiem leciało mu z rąk, ubrania plątały się, skręcały i wywracały do góry nogami. Jednak Scrooge – tak właśnie, ten uporządkowany, pedantyczny Scrooge – zupełnie się tym nie przejmował.

– Mój Boże, nie wiem, co się ze mną dzieje! – wykrzyknął, płacząc i śmiejąc się równocześnie. – Czuję się taki lekki! Jak piórko! I taki szczęśliwy, wesoły! Zupełnie jakbym znowu był uczniem. Jak dawniej! Wiwat Boże Narodzenie! Życzę wszystkim wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku! Mój Boże!

Scrooge krzyczał radośnie i biegał po całym mieszkaniu: z sypialni do salonu, z salonu do gabinetu – aż mu tchu brakowało. Widok ten był doprawdy nadzwyczajny. Gdyby teraz zobaczyli go dawni znajomi, klienci, pomyśleliby z pewnością, że zwariował.

– W tym garnuszku był mój kleik – wołał rozentuzjasmowany Scrooge, stając na chwilę przed kominkiem. – Przez te drzwi przeniknęło widmo Marleya, w tym miejscu siedział duch tegorocznych świąt, a tam, za tym oknem widziałem pokutujące dusze. I choć wydaje się to nieprawdopodobne, to jednak widziałem ich, z całą pewnością! A teraz wszystko jest jak dawniej, na swoim miejscu. Mój Boże! – westchnął Scrooge i wybuchnął nagle serdecznym i szczerym śmiechem. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się śmiał, całym sobą, każdą komórką ciała, trząśniętym wprost od tego wybuchu niepohamowanej wesołości.

– Nie wiem nawet, jaki dziś jest dzień. Nie wiem, ile czasu spędziłem w towarzystwie duchów. Nic nie wiem, ale mniejsza o to. To wszystko jest nieważne. Czuję, jakbym na nowo się narodził! Cha, cha, cha!

Radosne okrzyki przerwał dopiero odgłos kościelnych dzwonów. Bim! Bam! Bom!

– Coz cudowna muzyka. Że też wcześniej nie zwracałem nianię uwagi.

Scrooge radośnie podbiegł do okna i otworzył je szeroko, by posłuchać melodii wygrywanej przez kościelne dzwony. Wyjrzał rażno na ulicę. Na zewnątrz panowała prześliczna, wręcz wymarzona, zimowa aura. Na błękitnym niebie świeciło złociste słońce, jakby uśmiechało się do wszystkich jasnymi promieniami. Po wcześniejszej ciężkiej, lepkiej

mgle i zawiei nie było nawet śladu. Wesoły, orzeźwiający mróz delikatnie szczypał policzki i pobudzał krew w całym organizmie do żywszego krążenia. W powietrzu rozbrzmiewały radosne uderzenia dzwonów i niosły się coraz dalej i dalej, by ich pieśń mogli usłyszeć wszyscy. Wspaniały, cudowny moment!

– Jaki dziś mamy dzień? – zawołał do odświętnie ubranego chłopca, który przystanął na ulicy i patrzył na niego wielce zdziwiony.

– Co?! – odkrzyknął zdumiony chłopiec.

– Czy możesz mi powiedzieć, mój mały przyjacielu, jaki mamy dziś dzień? – Scrooge ponowił pytanie.

– Czy pan spadł z księżycy? – odpowiedział jeszcze bardziej zdziwiony chłopiec. – Przecież dziś jest Boże Narodzenie.

– Boże Narodzenie! – powtórzył w skupieniu Scrooge. – Zatem nic nie straciłem. Duchy pokazały mi to wszystko w zaledwie parę godzin. No tak, to przecież duchy, one mogą wszystko! Hej kolego, zaczekaj!

– Słucham pana?

– Czy znasz ten sklep z drobiem na sąsiedniej ulicy, na rogu? Wiesz, tam gdzie się skręca w drugą ulicę w prawo?

– Oczywiście, że znam!

– Bystry z ciebie chłopak – odrzekł Scrooge. – Niezwykle bystry! A widziałeś tam może jeszcze wiszącego indyka na wystawie? Nie chodzi mi o tego małego, ale o tego drugiego – ogromnego.

– Wiem, o którego indyka panu chodzi. On jest prawie taki duży jak ja!

– Doprawdy uroczy z ciebie malec. I jaki dowcipny! Kto by mógł przypuszczać, że rozmowa z takim maluchem może być tak miła! To zdumiewające! – mówił do siebie Scrooge. – Słuchaj, kolego...

– Słucham pana.

– Czy ten indyk wisi tam jeszcze?

– Wisi, przed chwilą go widziałem.

– Mam zatem prośbę, byś mi go kupił, dobrze?

– Pan żartuje?

– Nie, naprawdę, niech Bóg broni! – odpowiedział przejęty Scrooge. – Biegnij tam, proszę i powiedz, żeby mi go tu przynieśli. Zapłacę ci za twoją fatygę, a jak się bardzo pośpieszysz, to dostaniesz pół korony.

Chłopiec pomknął jak strzała.

– Każę go zanieść Bobowi Cratchitowi – mówił wesoło Scrooge i zacierał przy tym rażno ręce. – Na pewno się nie domyśli, że to ja go mu wysłałem. Ten indyk jest dwa razy większy od małego Tima! Ale będą zdziwieni. Podoba mi się ten figiel.

Gdy tak czekał na posłańca ze sklepu, napisał na kartce adres Boba Cratchita, specjalnie zmieniając charakter pisma. Po czym zszedł na dół i otworzył wejściowe drzwi. Jego wzrok padł na kołatkę.

– Będę cię kochał i szanował do końca życia, moja droga kołatko – zawołał z uczuciem i pogładził delikatnie kołatkę. – Jest naprawdę piękna. A oto i indyk! Wesołych świąt młodzieńcze!

Indyk dostarczony przez subiekta ze sklepu rzeczywiście wyglądał imponująco. Był tak ogromny, że trudno sobie wyobrazić, by za życia był w stanie utrzymać tak potężne ciało na patykowatych nogach.

– Wiesz co, chłopcze? Nie dasz rady zanieść go tak daleko. Masz tu za fatygę i jeszcze parę drobnych na dorożkę. A tu jest adres. Zawieź go tam, proszę.

Scrooge ze śmiechem wręczył chłopcu obiecane pieniądze oraz kartkę z wypisanym adresem. Wynagrodził też hojnie posłańca ze sklepu, który nie mógł znaleźć słów podziękowania z powodu tak niespodziewanego datku. Następnie wbiegł na górę. Klaskał przy tym co chwila w ręce i parskał wesołym, rażnym śmiechem. Usiadł w swym fotelu a szczery śmiech, jaki co chwila go ogarniał, rozbrzmiewał dźwięcznie w całym domu.

Scrooge spróbował się ogolić i choć czynność ta wyjątkowo przychodziła mu z dużym trudem – ręce drżały mu od ogromnego wzruszenia i radości – nie przejmował się tym wcale. Sprawiał wrażenie tak radosnego, że nawet gdyby podczas golenia uciął sobie kawałek swego spiczastego nosa, to nadal by się cieszył i dziękował Bogu za drugą szansę!

Umył się wreszcie, założył swoje najlepsze ubranie i w doskonałym humorze wyszedł na ulicę. Wokół było pełno ludzi, którzy z okazji świąt zacierali w odwiedziny do najbliższych – zupełnie tak, jak to widział podczas przechadzki z drugim widmem. Scrooge z uśmiechem przypatrywał się przechodniom, rozglądał na prawo i lewo, wolno krocząc przed siebie, a wyraz jego twarzy był tak uprzejmy, poczciwy i radosny, że kilku spotkanych przechodniów pozdrowiło go i życzyło mu wesołych świąt. Scrooge przyznał się potem, że gdy usłyszał pierwsze takie szczere i spontaniczne życzenia, o mało nie umarł z radości.

Nagle, wśród tłumu spostrzegł jednego z mężczyzn, którzy dzień wcześniej byli u niego w biurze w sprawie owej akcji charytatywnej. Na samo przypomnienie tamtej sceny i swojego postępowania ścisnęło mu się serce. „Co on sobie o mnie musiał wczoraj pomyśleć? Jak mam mu teraz spojrzeć w oczy?” – zastanawiał się Scrooge. Jednak natychmiast zrozumiał, jak powinien teraz postąpić. Przyspieszył zatem kroku, podszedł do mężczyzny i delikatnie klepnął go w ramię. Po czym powiedział:

– Dzień dobry panu. Jak się pan miewa? Mam nadzieję, że wczorajsza zbiórka zakończyła się pomyślnie? Podziwiam pańskie poświęcenie. Chciałbym panu życzyć wesołych świąt!

– Pan... pan... Scrooge?! – zawołał mężczyzna, a w jego głosie słychać było ogromne zaskoczenie.



– Zgadza się, szanowny panie. Proszę mi wybaczyć moje wczorajsze zachowanie. Wiem, co musieli panowie sobie o mnie pomyśleć. Byłem przepracowany i zdenerwowany. Jeśli jest jeszcze taka możliwość, to chciałbym dzisiaj... – Scrooge nachylił się i szepnął mężczyźnie do ucha kilka zdań.

– Czy pan mówi serio? Nie żartuje pan sobie ze mnie? – zawołał tamten z najwyższym zdziwieniem.

– Bynajmniej. Mam do spłacenia dług z przeszłości. Proszę mi wierzyć, że będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością. Chyba mi pan nie odmówi?

– Proszę pana! – wykrzyknął ponownie wzruszony słowami Scrooge'a mężczyzna i uściśnął mu serdecznie rękę. – To naprawdę wspaniałomyślne...

– Ani słowa! Proszę nic nie mówić! Nie zasługuję na pochwały. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie i kiedy możemy się spotkać, żebym mógł przekazać panu pieniądze. Może oboje panowie zajrzycie do mojego biura?

– Oczywiście, przyjdziemy na pewno!

– Dziękuję panu, bardzo panu dziękuję! – wołał rozradowany Scrooge. – Będę nieskończenie wdzięczny, jeśli panowie mnie odwiedzicie. Zatem do zobaczenia!

Wzruszony i szczęśliwy Scrooge wszedł do kościoła, gdzie modlił się żarliwie. Potem długo wędrował ulicami i przyglądał się miastu ogarniętemu świąteczną gorączką. Uśmiechał się przy tym życzliwie do napotkanych osób, zagadywał nieznanym, głaskał po głowach dzieci, a ubogim i żebrakom przekazywał drobne datki. Nigdy wcześniej nie czuł się tak szczęśliwy, jak teraz. Koło południa zawędrował pod dom swojego siostrzeńca. Zawstydzony minął kilkukrotnie wejście. Wreszcie pokonał wstyd i strach i zaklołatał do drzwi.

– Czy pan jest w domu? – spytał służącej, która otworzyła mu drzwi. Dziewczyna wydała mu się bardzo miła.

– Tak, proszę pana.

– A gdzie?

– W jadalni razem z panią. Może zechce pan chwilę poczekać...

– Dziękuję ci. Twój pan zna mnie bardzo dobrze. Wskaż mi, proszę, drogę do jadalni – rzekł Scrooge. – To tutaj? Dziękuję ci, moja droga.

Scrooge nieśmiało otworzył drzwi. Młodzi krzątali się wokół stołu nakrytego do świątecznego obiadu. Poprawiali ostatnie detale i sprawdzali, czy wszystko jest już gotowe.

– Fred? – zawołał niepewnie Scrooge, a żona jego siostrzeńca aż podskoczyła ze strachu na dźwięk jego niespodziewanego głosu.

– Na Boga? A któż to nas odwiedził? – zawołał Fred.

– To ja, wuj Scrooge. Zaprosiłeś mnie wczoraj na obiad, pamiętasz? Czy mogę wejść? – zapytał ścisłym głosem Scrooge.

Czy może wejść?! Uszczęśliwiony tak niespodziewaną wizytą Fred podbiegł do wuja, porwał go na ręce i wniósł do pokoju. O mało nie udusił go przy tym z ogromnej radości. Po kilku minutach Scrooge czuł się w domu siostrzeńca jak u siebie. Przyjęto go niezwykle serdecznie. Zarówno Fred, jak i jego żona, a także wszyscy przybyli goście okazali mu szacunek i życzliwość. Przy obiedzie zapanowała prawdziwa wesołość. Scrooge śmiał się szczerze, a swym dobrym humorem rozbawiał całe towarzystwo. Na końcu zaprosił wszystkich do siebie, gdy tylko urządzi swoje mieszkanie na wizytę gości.

Następnego dnia, skoro świt, Scrooge był już w swoim biurze. Chciał bowiem spłatać figla swojemu kanceliście i przyłapać go, gdy ten spóźni się do pracy. Zegar wybił dziewiątą, a Bob jeszcze nie przyszedł. „Udało się” – pomyślał rozradowany Scrooge i zachichotał szelmowsko pod nosem. Wreszcie Scrooge usłyszał kroki. Jego pracownik spóźnił

się całe osiemnaście i pół minuty! Scrooge udawał, że przegląda dokumenty. Bob otworzył drzwi najciszej, jak tylko potrafił. Zdjął kapelusz i szalik i wsunął się jak piskorz do biura. Bezszelestnie zasiadł na swoim miejscu i od razu zabrał się do pracy.

– Hej! – zawołał gniewnie Scrooge, udając swój dawny ton głosu. – Co to ma znaczyć? Jak pan śmie się tak spóźniać do pracy?

– Bardzo pana przepraszam – wyjąkał przerażony Bob. – Rzeczywiście trochę się spóźniłem.

– Trochę? Ponad osiemnaście minut. Proszę tu do mnie natychmiast przyjść!

– To pierwsze spóźnienie w tym roku – odrzekł z pokorą Bob, kierując się do pokoju swego pracodawcy. – Obiecuję, że już więcej się to nie powtórzy. Wczoraj trochę za długo zabawiłem się z dziećmi... Czas tak szybko płynął, nie zauważyłem, że jest już tak późno...

– Tak dalej być nie może! – przerwał mu gwałtownie Scrooge, po czym zerwał się z krzesła, chwycił Boba za ramiona i powtórzył:

– Tak dalej być nie może! Dlatego...podwajam ci pensję!

Przerażony Bob trzął się cały jak osika. Wyrwał się swemu przełożonemu, wpadł do swojego pokoju i chwycił długi, żelazny linka, by bronić się przed swoim pracodawcą, który najwyraźniej postradał zmysły.

A Scrooge? Śmiał się, śmiał się tak donośnie, że słychać go było na ulicy. Wprost pękał ze śmiechu! Doskonale udał mu się ten dowcip! Nagle uspokoił się zupełnie i spoważniał.

– Bob, mój drogi! – powiedział Scrooge, klepiąc kancelistę po ramieniu. – Chciałem ci przede wszystkim życzyć wesołych świąt! Nigdy wcześniej tego nie robiłem – wybac mi, proszę! Wiem, jak okropnie cię traktowałem. Ale obiecuję, że to się zmieni. Dlatego podwajam ci twoje wynagrodzenie. Chcę pomóc twojej rodzinie, która tak dzielnie zмага



się z przeciwnościami losu. Chętnie zatrudnię też Piotra w moim biurze, z pewnością przyda nam się pomoc. Ale o tym pomówmy już wieczorem przy szklaneczce ponczyku, zgoda? A teraz, zanim wrócisz do pracy, rozpal w kominku porządny ogień, bo strasznie tu zimno. I kup jeszcze jeden kosz węgla.

Od tego czasu Scrooge zmienił się zupełnie, a swoim postępowaniem zrobił więcej dobrego niż obiecał duchom. Stał się przykładem zacnego obywatela, którego niejedna osoba wskazywała jako wzór do naśladowania. Dla małego Tima, który jednak nie umarł, był wręcz jak drugi ojciec. Był wzorowym pracodawcą, przyjacielem, przedsiębiorcą. Niektórzy z jego dawnych znajomych uśmiechali się złośliwie na tę jego nagłą, niespodziewaną przemianę. Jednak Scrooge nic sobie z tego nie robił. Wiedział bowiem doskonale, dzięki naukom duchów, że są na świecie ludzie, dla których cnota i szlachetność drugiego człowieka jest powodem do szyderstw. A na ich szyderczy śmiech odpowiadał również szczerym, serdecznym i radosnym uśmiechem. Jego serce przepęłniała nieograniczona radość i to mu w zupełności wystarczyło. Od czasu owej pamiętnej wigilii nie spotkał już więcej duchów, ale nauczył się od nich, jak żyć w zgodzie i miłości z przyjaciółmi, rodziną, znajomymi. I zawsze niecierpliwie wyczekiwał kolejnych Świąt Bożego Narodzenia, które upamiętniały jego ogromną przemianę i odrodzenie. Rzeczywiście, nikt tak wspaniale nie potrafił obchodzić świąt jak Ebenezer Scrooge. Oby to samo można było powiedzieć o każdym z nas! I obyśmy nigdy nie zapomnieli słów Chrystusa: „Miłujcie się nawzajem!”



WODOCIĄG MARECKI  
SPÓŁKA Z O.O.



Jesteśmy firmą wodociągowo-kanalizacyjną działającą na terenie Marek, dynamicznie rozwijającego się miasta znajdującego się w obszarze aglomeracji stołecznej. Dostarczamy zdrową, markową wodę i odbieramy ścieki, współtworząc przyjazne mieszkańcom środowisko naturalne. Dzięki kompetentnej organizacji zapewniamy kompleksową realizację zadań samorządu w zakresie gospodarki wodno-ściekowej – zarówno w zakresie inwestycji jak i bieżącej eksploatacji. Dbamy o edukację ekologiczną, pielęgnując i przekazując kolejnym pokoleniom zasady ochrony środowiska.

Wodociąg Marecki to operator sieci wodociągowej i kanalizacyjnej działający w zgodzie z zasadami ochrony środowiska. To niezawodny i wiarygodny partner w zakresie gospodarki wodno-ściekowej dla mieszkańców Marek.

Spółka jest beneficjentem efektywnie wykorzystującym środki unijne. Wodociąg Marecki jest wiodącym dostawcą usług w zakresie gospodarki wodno-ściekowej na terenie miasta Marki. Stawia przede wszystkim na jakość i rozwój infrastruktury.

**Wodociąg Marecki Sp. z o.o.**

05-270 Marki • ul. Żeromskiego 30 • tel./fax 22 781 35 32, 22 771 46 93

e-mail: [wodociagmarecki@gmail.com](mailto:wodociagmarecki@gmail.com) • [www.wodociagmarecki.pl](http://www.wodociagmarecki.pl)